9 771898 308011 41

POLSKA

19 lat

METROPOLIA WARSZAWSKA

Poniedziałek, 5.10.2026
Nr 80 (2591)
Cena 6,00 zł (w tym 8% VAT)
Nr ISSN 1898-3081 • Nr indeksu 349-682

www.i.pl

DZIŚ W NUMERZE

- *Sportowy24: najciekawsze informacje i analizy ze świata sportu*
- *Pod paragrafem: najstraszniejsze historie kryminalne retro*

MAGAZYN • STR. 4

Prezydent skapitulował. Ustawa o cenach paliw podpisana

Opozycja nie kryje konsternacji, politycy obozu rządzącego mówią o „postawieniu prezydenta pod murem"



FOT. SYLWIA DĄBROWA

MAGAZYN • STR. 6-7

Nadchodzi czas politycznych singli, którzy łamią duopol

MAGAZYN • STR. 8-9

Onkologia XXI wieku, czyli sukcesy i rozczarowania

MAGAZYN • STR. 14-15

Igor Herbut: Mam miłość, szczęście i spokój

eprasa.pl 95e9f48b56

POLECAMY

PIĄTEK: Czy koalicja rządowa zdoła „odbić” Trybunał Konstytucyjny?

5.10.2026
Poniedziałek

Dziś imieniny: Apolinarego, Faustyny, Igora
Telefon alarmowy: 112

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny
Arlena Sokalska
Z-ca redaktora naczelnego
Agaton Koziński
Redaktorzy
Anita Czupryn
Dorota Kowalska
Mariusz Grabowski

www.i.pl

Polska Press
Makroregion Wschód
Redakcja
ul. Domaniewska 45
02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Prezes Makroregionu
Aureliusz Mikos
Dyrektor reklamy
Witold Trzciński
Biuro reklamy oddziału
tel. 698 635 707
Druk
Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
p.o. Prezes Zarządu Polska Press Grupy
Elżbieta Żuraw
Redaktor naczelny Polska Press Grupy
Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG
Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.i.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

Janusz Michalczyk
publicysta



Superinteligencja na horyzoncie, czyli komedia pomyłek

Z oficjalnych dokumentów amerykańskich znika sztuczna inteligencja (AI). Prezydent Donald Trump ogłosił, że zamiast tego określenia będzie używać terminu „superinteligencja”. Najwyraźniej został przekonany przez szefów potężnych firm technologicznych, że już za moment zwykła, ludzka inteligencja pozostanie daleko w tyle. To dość zabawne, bo jednocześnie ci sami ludzie straszą nas nieuchronnym końcem cywilizacji, jaką znamy. Co zatem ma być takie super?

Niezależni analitycy widzą w tym straszeniu przewrotną próbę przyciągnięcia inwestorów do firm, które już przetrawiły grube miliardy dolarów i są w stanie wchłonąć dowolną ilość pieniędzy. „Superinteligencja” jest obietnicą olbrzymich zysków, choć dziś nikt nie ma pojęcia, w jaki sposób je wygenerować. Zanosi się na krach - jak to już bywało w historii, zarobi kilku cwaniaków, a rzesza frajerów pożegna się z oszczędnościami i majątkami.

Podobno niektóre systemy zwane agentami AI stały się niezależne, co i rusz próbują wymknąć się spod kontroli. W istocie wszystkie dotychczasowe doniesienia o ich wybrykach okazały się mocno naciągane, bo za każdym razem umożliwiał je jakiś banalny ludzki błąd. Wygląda na to, że ci agenci sami z siebie są bezradni jak przedszkolaki. Nie zagrażają nam obdarzone własną świadomością systemy, lecz sterujący nimi beztroscy, niekompetentni osobnicy.

W rzetelnych dyskusjach o AI powtarzają się uwagi o tym, że te systemy coraz lepiej naśladują ludzi, ale skoro nie mają ciała w sensie biologicznym - nie ma mowy o prawdziwych emocjach. Owszem, ten czy ów zakocha się w smartfonie gadającym do niego czule, jednak będzie to epizod z komedii pomyłek.

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj „Polską Metropolię Warszawską”

tel. 12 312 53 88
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

SEKCJA SEKCJA

Oksana Zabużko: Miejsce strachu zajęła rezygnacja i podszyta ironią pogarda dla Rosjan

Premier Tusk ostrzega przed ciężką zimą. Rządzący w Polsce obawiają się nasilenia rosyjskich prowokacji i ataków, także na kraje wschodniej flanki. Większe zagrożenie znów zbliży Kijów do Warszawy?

Jesteśmy na siebie skazani nierozwiązywalnym węzłem historii – na dobre i na złe. Ten węzeł krwawi wciąż od XVII wieku, ale nie da się go przerwać. Nie można udawać, że nasze losy nie są ze sobą połączone. Nie możemy odwrócić się do siebie plecami. Polityka polityką — wszędzie w Europie pod tym względem robi się nieprzyjemnie, populizm kwitnie. Przeżywamy kryzys demokracji. Jako pisarkę z zawodu, a filozofkę z wykształcenia najbardziej zajmuje mnie dziś to, że znaleźliśmy się w kluczowym momencie historii, jakby na zakręcie. Nie zatrzymamy biegu dziejów, ale możemy próbować na nie wpłynąć. Od każdego z nas zależy, czym się to wszystko skończy.

Wierzy pani w to, że Rosję można pokonać?

Absolutnie tak.

Historia uczy, że Rosja może „pokonać” się tylko sama, np. rozpadając się jak ZSRR.

Musimy jej w tym pomóc. Oczywiście walczymy o przetrwanie, bo Kremlowi chodzi o całkowite zniszczenie Ukrainy. A gdyby Rosji się udało, cała Europa poniosłaby klęskę. Kreml potrzebuje żołnierzy. Jeśli podbije Ukrainę i przejmie jej zasoby, w tym te ludzkie, armia rosyjska stanie się potęgą. Jeśli Rosja wygra, Polska będzie następna. Obawiam się, że w porównaniu z tym, co tym razem zgotują Rosjanie Polakom i Europejczykom, marsz Armii Czerwonej przez Europę Środkową i Wschodnią w 1945 roku był tylko przechadzką. Kiedy o tym myślę, mam dreszcze. Wydaje mi się, że Polacy nie uświadamiają sobie tego zagrożenia. Dlatego za wszelką musimy doprowadzić do zmian w Moskwie. Jeśli Rosja przetrwa w obecnym ustroju politycznym, Europa znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.



FOT. FOT.GRZEGORZ GALASINSKI

Oksana Zabużko, ukraińska pisarka

Jesteście na krawędzi?

Nie, trwamy w kombinacji zimnej pogardy i zmęczenia. Ludzie jednak wiedzą, że mamy do czynienia z agonią imperium, na froncie Rosji zupełnie nie idzie. Zamierzonych do końca roku celów Kreml już z pewnością nie osiągnie. Obawiamy się, że może dopuścić się jakiegoś wrogiego aktu wobec Europy, jakiejś prowokacji, słowem ucieknie się do szantażu siłowego, aby wymusić na krajach UE odmowę pomocy dla Ukrainy.

Czy społeczeństwo ukraińskie wytrzyma tę kolejną już rosyjską kampanię terroru?

Ukraińcy wytrzymali ubiegłą zimę, więc wytrzymają i tę nadchodzącą. Przekroczyliśmy granicę strachu, więc nie da się już nas bardziej wystraszyć. Miejsce strachu zajęła rezygnacja. I podszyta ironią pogarda dla Rosjan. Podczas ataków, gdy nie da się zasnąć, Ukraińcy dzielą się na TikToku krótkimi, śmiesznymi wierszykami, w których drwią z rosyjskiego terroru, takimi jak ten: „Już w piżamie, nogi mam umyte, pocisków w niebie jak mrów. Czy uderzy w tej chwili, czy nie, mam to w dupie”.

Ludzie złamani nie dzielą się wierszykami na TikToku…

Nie udało im się nas złamać, ale jesteśmy potwornie zmęczeni. Czujemy tę wojnę w całym ciele. Podróżuję od trzech tygodni po Europie i okazuję się, że mogę spać jak suseł, że nie muszę budzić się w środku nocy. Co więcej, nie dręczą mnie blokady mentalne, a bywało, że ze stresu zaczęłam pewne rzeczy zapominać. Wszyscy teraz to mamy. Moja znajoma z Kijowa, trzydziestolatka, tak to ujęła: „Otwieram lodówkę i patrzę do środka jak baran, nie wiedząc, co chciałam wyjąć…”.

Cierpicie masowo na zespół stresu pourazowego?

Jesteśmy w stanie permanentnego stresu. I zdrowsi z tego nie wyjdziemy. Coraz częściej zadajemy sobie pytanie, czy już zwariowaliśmy. Ocieranie się śmierć siedem dni w tygodniu, dwadzieścia cztery godziny na dobę, nie jest przecież normalne. A jednak „normalne życie” toczy się dalej. Ludzie chodzą do pracy, robią zakupy, kochają się i nienawidzą. Pomaga nam to, że dobrze wiemy, o co walczymy i dlaczego cierpimy. Po czterech latach wojny 70 proc. społeczeństwa nadal jest przeciwne oddaniu Rosji Donbasu i Zaporoża za cenę pokoju. Żeby uzmysłowić panu to, jak wygląda życie w Kijowie, opowiem pewną anegdotę. Jest piękne, wczesnojesienne popołudnie. Siedzę przy komputerze w pracowni. Za oknem słychać głosy bawiących się dzieci. Byłam tak skupiona na pisaniu, że przegapiłam alarm ogłoszony w aplikacji Atak Powietrzny. Z pracy wyrwały mnie wybuchy — jeden, potem drugi. Na parkingu zaczęły wyć samochodowe alarmy. I zaraz za tym, jak gdyby nigdy nic przez podwórze przechodzi kobieta, rozmawiając przez telefon: „Cześć, idę do sklepu po chleb. Coś ci kupić?”. Napisałam do męża SMS-a „Słuchaj, to wszystko jest surrealne”. Dobrą stroną tego szaleństwa jest to, że życie ma większy smak, kocha się i nienawidzi intensywniej, korzysta na tym literatura, bo ludzie bardziej ją cenią. I sztuka, bo staje się bardziej potrzebna. W całej Ukrainie rozpowszechnił się czarny, żołnierski humor.

Rozmawiał Jacek Pawlicki, PAP

eprasa.pl 95e9f48b56

WOJNA NA BLISKIM WSCHODZIE

Dlaczego ceny ropy wciąż nie spadają?

Przepływ ropy z Zatoki Perskiej powrócił do poziomu zbliżonego do sprzed wojny, ale dane wskazują, że znaczna część ropy trafia na rynki szlakami i w ramach umów transportowych, które nie istniały przed wybuchem konfliktu

Grzegorz Kuczyński

Według firmy analitycznej Kpler zajmującej się rynkiem surowców, w okresie od 1 do 28 września z regionu wypływało co najmniej 16,5 mln baryłek ropy dziennie, co odpowiada średniej sprzed wojny przy wyłączeniu Iranu.

Jednak mimo wzrostu poziomu dostaw ropy nadal utrzymuje się wąskie gardło w rafineriach, które spowodowało globalny skok cen oleju napędowego. Dane Unii Europejskiej opublikowane 1 października wskazują, że ceny popularnego diesla na stacjach benzynowych osiągnęły rekordowy poziom. Ceny gwałtownie wzrosły również w Stanach Zjednoczonych, pomimo ożywienia eksportu ropy. Przed wojną 83 procent ropy z regionu przepływało przez Cieśninę Ormuz. We wrześniu 40 procent ominęło cieśninę, a ropa była transportowana rurociągami i innymi szlakami przez Arabię Saudyjską i Zjednoczone Emiraty Arabskie.



FOT. –/AFP/EAST NEWS

Dopóki statki nadal wymagają ochrony wojskowej, Cieśnina Ormuz pozostaje słabym punktem dla Waszyngtonu

Firma Kpler podała, że ponad 70 procent ropy, która przepłynęła przez cieśninę w sierpniu – ostatnim miesiącu, dla którego dostępne są dane – zostało przeładowane na inne tankowce na morzu w Zatoce Omańskiej, co podkreśla, jak bardzo obecny system odbiega od normalnej żeglugi handlowej.

Dla Iranu ożywienie eksportu jest oznaką, że jego zdolność do zakłócania ruchu na drodze wodnej przez Ormuz uległa znacznemu osłabieniu. Mohammad Ghaedi, wykładowca na George Washington University, powiedział w rozmowie z Radio Farda, że obecny poziom ruchu jest już zbyt duży dla Teheranu i „nie do przyjęcia" dla tamtejszych władz. Liczby te nie oznaczają jednak, że Iran po prostu stracił kontrolę nad Cieśniną Ormuz. Teheran tak naprawdę nigdy formalnie nie kontrolował tej cieśniny. Jego przewaga opierała się raczej na zdolności do uczynienia przepływu niebezpiecznym, zmuszając przedsiębiorstwa żeglugowe do rozważania ryzyka i kosztów wpłynięcia do Zatoki Perskiej.

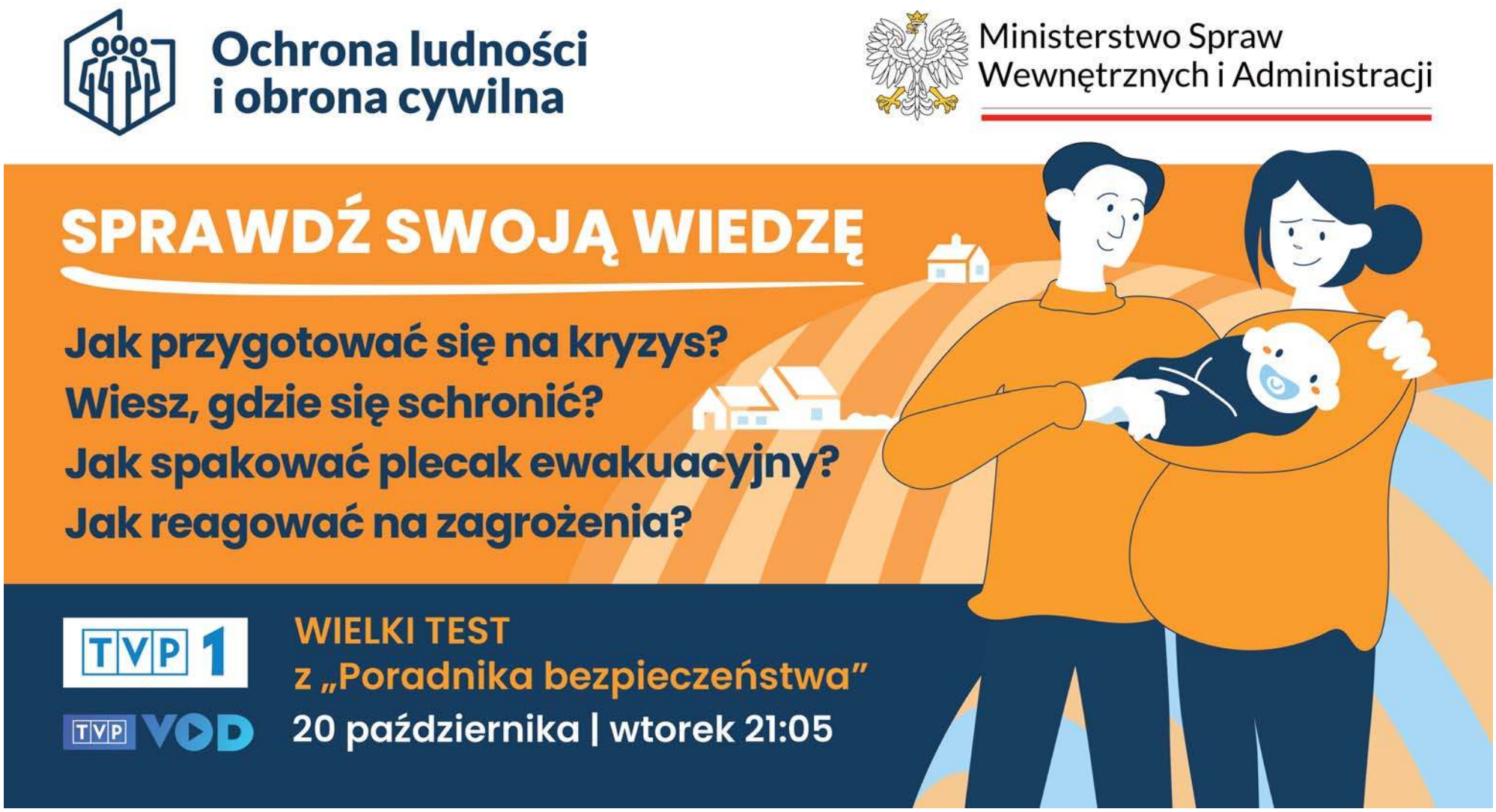
Zdolność ta wydaje się osłabiona, ponieważ siły amerykańskie zapewniają ochronę żegludze handlowej, a przedsiębiorstwa opracowują sposoby transportu ropy przy jednoczesnym ograniczeniu narażenia na ryzyko związane z przepływem przez cieśninę.

Ellen R. Wald, autorka i analityk rynków energetycznych, powiedziała RFE/RL, że „zdolność i/lub chęć Iranu do atakowania statków w Zatoce Perskiej maleje", co pozwala statkom na przepływ pod osłoną wojsk amerykańskich. Ostrzegła jednak, że ożywienie przepływów nie powinno być mylone z powrotem do normalności. Niektóre przedsiębiorstwa żeglugowe podejmują znaczne ryzyko, aby skutecznie przetransportować ropę przez cieśninę do większych tankowców czekających poza Zatoką Perską. Inne działają bez ubezpieczenia lub w niezwykle trudnych warunkach. I właśnie dlatego ceny ropy nie spadają znacząco pomimo wzrostu przepływów ropy.

Im więcej ropy przepływa bez przeszkód, tym słabsza staje się zdolność Teheranu do wykorzystywania Cieśniny Ormuz jako narzędzia nacisku. Jednak nadzwyczajne środki wymagane do utrzymania przepływu ropy pokazują również, że cieśnina pozostaje źródłem przewagi.

Dopóki statki nadal wymagają ochrony wojskowej, nietypowych tras i kosztownych rozwiązań zastępczych, Cieśnina Ormuz pozostaje słabym punktem dla Waszyngtonu, nawet jeśli Iran nie jest już w stanie wywierać na nią takiej samej presji, jak w szczytowym momencie konfliktu.

REKLAMA 0111548563



eprasa.pl 95e9f48b56

POLITYKA

Ceny paliw. Prezydent zrobił krok w tył

Koniec wojny o ceny paliw. Prezydent podpisał ustawę, dzięki której za benzynę i olej napędowy płacimy mniej. Opozycja nie kryje konsternacji, politycy obozu rządzącego mówią o „przypartym do muru prezydencie" i „kapitulacji Karola Nawrockiego". Polacy się cieszą, bo to przede wszystkim dobra informacja dla nas wszystkich

Dorota Kowalska

Dla większości polityków, tak koalicji rządzącej jak opozycji, to było jednak spore zaskoczenie. Prezydent Karol Nawrocki podpisał ustawę o nadmiarowych zyskach koncernów paliwowych, która ma sfinansować obniżkę cen paliw. Zapowiedział przy tym skierowanie ustawy do Trybunału Konstytucyjnego do kontroli w trybie następczym.

Co ciekawe, jeszcze 22 września Nawrocki przekonywał, że ustawa jest niekonstytucyjna.

- Ta ustawa jest niekonstytucyjna i ja jestem zawiedziony premierem Tuskiem, że mając dobrą propozycję ustawową z Pałacu Prezydenckiego, nie chce jej po prostu przyjąć, czy nie chce doprowadzić do tego, że zostanie ona przyjęta przez polski parlament i wówczas ją podpiszę – mówił prezydent.

Dodał, że „kierowcy są wzięci za zakładnika".

- Płacimy tak wysokie ceny paliwa tylko dlatego, że premier chce na mnie wymóc, abym podpisał niekonstytucyjną ustawę - tłumaczył.

Nagle jednak prezydent zmienił zdanie i ustawę podpisał. Chociaż, jak podkreślił w swoim orędziu, nie wycofuje swoich zastrzeżeń co do niej.

- Chcę również jasno powiedzieć, że podpisując ustawę, nie wycofuję swoich zarzutów dotyczących jej niekonstytucyjności. Jako Prezydent Rzeczypospolitej zwrócę się do Trybunału Konstytucyjnego o jej zbadanie w trybie następczym -powiedział Karol Nawrocki.

I podkreślił, że podpisując ustawę, „w imieniu Polaków stawia przy tym konkretne oczekiwania".

- Obniżki na stacjach mają nastąpić od razu i powinny doprowadzić ceny paliw do poziomu obiecanego Polakom w kampanii wyborczej - powiedział. Jak wskazał, ma to się wydarzyć „nie za miesiąc, nie po następnej politycznej awanturze, nie za tydzień czy dwa".

Decyzja prezydenta wywołała, z jednej stronę konsternację po stronie opozycji, z drugiej – niekrytą satysfakcję polityków obozu rządzącego.

„To nie ja wygrałem. Wygrali Polacy, którzy już w weekend zapłacą mniej za paliwa" - napisał na X premier Donald Tusk. Pozwolił sobie też na małą złośliwość. W mediach społecznościowych umieścił film, na którym widać jak spaceruje przed bramą Belwederu, uśmiecha się i puszcza oko do kamery. „I po co było tak rumakować?" - pyta.



FOT. PAP/MARCIN BIELECKI

Prezydent miał więc do wyboru: dobro kieszeni obywateli, albo satysfakcję polityków PiS

- To jest już cudowanie na poziomie kabaretu! - nie krył oburzenia poseł Zbigniew Kuźmiuk z PiS.

- Premier 38-milionowego kraju błąka się pod bramą Belwederu z kubkiem kawy... Przecież tam po pierwsze prezydent nie urzęduje. Poza tym tego rodzaju hasła, jak rumakowanie, są po prostu niepoważne - dodał.

A tak na poważnie – w sieci zawrzało.

„Nie można ustępować! Prezydent Karol Nawrocki ugina kolana i pod presją obywateli podpisuje rządową ustawę, która pozwoli obniżyć ceny na stacjach paliw. Po spadkach zaufania strach zajrzał w oczy prezydenckiej ekipy" - napisała ministerka klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska.

Poseł Lewicy Tomasz Trela stwierdził, że prezydent Nawrocki został po prostu „przyparty do muru".

„Konsekwencja i determinacja zawsze przynoszą efekty, z Karolem Nawrockim właśnie tak trzeba. My pracujemy dla ludzi, Prezydent niech nie przeszkadza!" – zaapelował poseł Trela.

Z kolei minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski stwierdził w rozmowie w TVN24, że „jest oszołomiony ilością ekonomicznych nonsensów i bezczelnością tego orędzia". - Pan prezydent nie raczył wspomnieć, skąd się wzięły wysokie ceny benzyny. Wzięły się z wojny w Zatoce Perskiej, ze zwyżki cen ropy, ze zwyżki cen frachtu, to po pierwsze. Po drugie, słusznie mówił o tym, że mamy zbyt wysoki deficyt już od poprzedniego rządu, a jednocześnie mówił, że nie pozwoli sfinansować obniżek cen benzyny z zysków korporacji naftowych - powiedział.

Opozycja, która kibicowała prezydentowi i nie chciała, aby ten podpisał ustawę, nagle zmieniła narrację.

„Ustawa Tuska wprowadzająca nowy podatek podpisana. Tusk nie ma już alibi, nie może przerzucać na nikogo odpowiedzialności. Mamy rekordowe ceny na stacjach, choć przecież ceny ropy wcale rekordowe nie są, a złotówka ma wyższą wartość wobec dolara niż przed laty... Rząd ma wszelkie narzędzia, aby obniżyć ceny choćby od jutra. Czy rano na pylonach zobaczymy 5,19 zł/l paliwa? Wiemy, ile znaczą opowieści Tuska" - czytamy we wpisie prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego.

Przemysław Czarnek oraz Jacek Sasin zaczęli natychmiast żądać od rządu drastycznych obniżek cen na stacjach, wypominając obietnicę „paliwa po 5,19 zł".

Swojego rozczarowania decyzją prezydenta nie kryli za to politycy Konfederacji.

„Podatek od nadzwyczajnych zysków, nakładany wstecz, jest w oczywisty sposób sprzeczny z Konstytucją. Bardzo żałuję, że Prezydent poddał się propagandzie Donalda Tuska i zgodził się na ten podatek. Dotknie to Polaków oszczędzających w funduszach będących akcjonariuszami Orlenu, a także samych akcjonariuszy, którzy zostaną obrabowani przez rząd Tuska. Miałem wielką nadzieję, że ten Prezydent będzie chronił Polaków przed podatkami. A wyszło jak zwykle" - napisał lider Konfederacji Sławomir Mentzen.

Cóż, prezydent zrobił krok w tył, ale trochę nie miał wyjścia.

Narracja rządu była jasna: dzięki wielkim pieniądzom zarabianym przez koncerny paliwowe na drogim paliwie można sfinansować kolejną odsłonę programu CPN, co w konsekwencji doprowadziłoby do obniżek cen. Potrzebny był tylko podpis prezydenta.

Nawrocki miał więc do wyboru: dobro kieszeni obywateli, albo satysfakcję polityków PiS-u, Rozwoju Plus oraz Konfederacji, którzy w trakcie głosowań sejmowych byli przeciw tej ustawie. Wybrał pierwsze rozwiązanie.

- Miało to wyglądać tak, że pan prezydent, jak dobry ojciec, tłumaczy Polakom swoje wątpliwości co do podpisania tej ustawy. Natomiast widać było, że jest leciutko poddenerwowany i niezadowolony – mówiła „Faktowi" dr Ewa Pietrzyk-Zieniewicz, politolog z UW. - Pan prezydent sam zapędził się pod ścianę i już nie było żadnego ruchu poza „tak" albo „nie". A akurat w tej sprawie, trudno było powiedzieć zdecydowane „nie" - dodaje.

Dr Ewa Pietrzyk-Zieniewicz stwierdziła, że premierowi udało się wprowadzić do pamięci społecznej istotny wątek.

- Kancelaria premiera naciskając na prezydenta, cały czas podkreślała, że obce firmy na nas zarabiają i to bardzo duże pieniądze. No więc gdy Polak słyszy, że nasze pieniądze wychodzą z kraju i obcy na nas zarabiają, to jest oczywiste, iż stwierdzi, że jeśli możemy zmusić obcych, aby się podzielili, to jest jasne, że trzeba to zrobić - wyjaśniła.

Jest jeszcze jedna kwestia, o której wspominała Paulina Hennig-Kloska – sondaże. A w nich obserwowany jest pewien trend: raz - spadek zaufania do Karola Nawrockiego, dwa – coraz mniej wyborców ocenia dobrze jego prezydenturę. Tak wynika chociażby z najnowszego sondażu Instytutu Badań Pollster dla „Super Expressu". Prezydenta pozytywnie ocenia w nim 44 proc. Polaków, negatywnie — 39 proc. Jak podaje „SE", w porównaniu do badania z sierpnia pozytywne wskazania w przypadku Karola Nawrockiego spadły o 3 pkt proc.

„Podobną tendencję zniżkową widać w badaniu CBOS z sierpnia. Prezydenta Karola Nawrockiego dobrze oceniło wówczas 51 proc. ankietowanych, podczas gdy miesiąc wcześniej pozytywnych opinii było 56 proc." – zauważa gazeta.

Pierwszą damę pozytywnie ocenia natomiast 47 proc. Polaków, źle — 15 proc. W porównaniu do sondażu sprzed miesiąca Marta Nawrocka notuje jednak duży spadek — z 64 proc. do 47 proc. To różnica 17 pkt proc.

Jest też inny sondaż – przeprowadzony przez SW Research na zlecenie portalu Onet.pl. Z niego wynika z kolei, że 64,7 proc. Polaków uważa, iż konflikt między rządem a prezydentem utrudnia skuteczne reagowanie na zagrożenia dla bezpieczeństwa.

I wygląda na to, że Polacy za tę nieustającą wojnę między dużym i małym pałacem winną obarczają także Karola Nawrockiego. Sam Nawrocki i jego doradcy doskonale zdają sobie z tego sprawę, podobnie jak z faktu, że bezpieczeństwo i zawartość własnych portfeli to najważniejsze argumenty dla wyborców. PAP

eprasa.pl 95e9f48b56

MATERIAŁ INFORMACYJNY KNM
0011537591

Jak zmniejszyć **rekordowy dystans Polski do Europy** w nowej mobilności?

- **23 punkty procentowe - tyle wyniosła w sierpniu 2026 r. różnica między udziałem samochodów całkowicie elektrycznych (BEV) w rejestracjach nowych aut osobowych w Unii Europejskiej i w Polsce. Nigdy wcześniej ta dysproporcja nie była aż tak duża.**
- **Różnica pogłębiła się w czasie, gdy Polska angażuje się w projekt budowy hubu w Jaworznie, dla powodzenia którego kluczowe znaczenie ma rynek krajowy.**
- **Po KNM 2026, PSNM przedstawia dziesięć rekomendacji, które mają wzmocnić polski sektor nowej mobilności.**



W sierpniu 2026 r. udział BEV w rejestracjach nowych samochodów osobowych wyniósł 27,7% w UE i 4,8% w Polsce. Od stycznia do sierpnia było to odpowiednio 21,7% i 5,1%, a w UE wraz z EFTA i Wielką Brytanią - 23,2%. Polska jest piątym rynkiem nowych aut w Unii, lecz zajmuje 26. miejsce wśród 27 państw tego zestawienia pod względem udziału BEV. W pierwszych ośmiu miesiącach roku unijne rejestracje samochodów elektrycznych wzrosły o 44,9% rok do roku. Polska odnotowała spadek o 2,1% jako jedyny kraj w UE.
Polska zostaje w tyle również za rynkami Europy Południowej i Środkowej. W pierwszych ośmiu miesiącach roku udział BEV w Hiszpanii wyniósł 10,2%, we Włoszech 8,1%, w Czechach 7,0%, a w Słowenii 19,5%. Hiszpania zarejestrowała około czterech razy więcej samochodów elektrycznych niż Polska, a Włochy - 4,4 razy więcej.

Zwiększający się dystans jest tym bardziej niepokojący, że państwo angażuje się w budowę nowoczesnego przemysłu. Umowa inwestycyjna NFOŚiGW z ElectroMobility Poland gwarantuje 4,5 mld zł z KPO na centrum produkcyjno-rozwojowe w Jaworznie. W ocenie PSNM tak duża interwencja powinna iść w parze z konsekwentną polityką rozwoju rynku pojazdów elektrycznych.

- Inwestycja w EMP jest szansą dla całego sektora. Jej potencjał powinniśmy wzmacniać, budując stabilny krajowy rynek, rozwijając polskich dostawców i własne technologie. Bez tego możemy zwiększać przemysłowe ambicje, a jednocześnie oddawać innym państwom korzyści z transformacji. Polska musi uniknąć roli odbiorcy technologii, z których Europa stopniowo rezygnuje. Hub w Jaworznie to zatem strategiczna inwestycja, ale jego sukces w początkowym etapie zależy od popytu wykreowanego na rynku krajowym. Obecne, niskie wyniki rejestracji „elektryków" są dalekie od warunków potrzebnych dla powodzenia tego projektu. Dlatego już dziś niezbędne są działania wspierające – mówi **Aleksander Rajch**, wiceprezes PSNM.

Polski Kod Mobilności i KOMPAS 2035 po KNM
Kongres Nowej Mobilności 2026 w Katowicach zgromadził blisko 10 tys. uczestników. Dyskusje na 12 scenach połączyły motoryzację z energetyką, rozwojem miast i nowymi technologiami. Premiery dostępnych cenowo modeli samochodów elektrycznych pokazały, że oferta elektromobilności jest adresowana do coraz szerszej grupy nabywców.

W KNM wzięło udział wielu przedstawicieli administracji publicznej. Wicepremier i Minister Cyfryzacji Krzysztof Gawkowski oraz Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego Marcin Kulasek ogłosili inicjatywę Polski Kod Mobilności. Współpraca resortów ma połączyć potencjał nauki z kompetencjami cyfrowymi i potrzebami przemysłu. Zapowiedziany dialog z branżą przełoży się na programy rozwoju i wdrażania polskich technologii cyfrowych dla nowej mobilności – od AI, przez cyberbezpieczeństwo, po autonomię.

Punktem wyjścia do strategicznego wykorzystania tranformarcji transportu jest zaprezentowany na KNM dokument „MotoryzacjaPL - KOMPAS 2035" - branżowa strategia transformacji przemysłu motoryzacyjnego. Zawiera ona 57 konkretnych działań dotyczących m.in. inwestycji, energii, badań, krajowego rynku i kompetencji pracowników.

- Strategia ma zwiększyć wartość tworzoną w Polsce dzięki własnym technologiom i silniejszym dostawcom. Łączy potrzeby zakładów produkcyjnych z rozwojem rynku i nauki, dlatego powinna stać się fundamentem polityki przemysłowej. Polski Kod Mobilności powinien przełożyć rekomendacje zawarte w KOMPASIE na konkretne programy publiczne – mówi **Łukasz Witkowski**, wiceprezes PSNM.



Dziesięć rekomendacji dla rynku i gospodarki
Pakiet 10 rekomendacji PSNM zaczyna się od przywrócenia przewidywalnego wsparcia rynku BEV. Należy zapewnić ciągłość finansowania zakupu i leasingu osobowych samochodów elektrycznych. Social leasing powinien przybliżyć elektromobilność gospodarstwom o niższych dochodach i pomóc ograniczyć wykluczenie komunikacyjne. Francja uruchomiła już kolejną edycję takiego programu, z którego skorzystało do tej pory ok. 150 tys. osób. Polska potrzebuje instrumentu opartego na podobnych założeniach, z prostymi zasadami dostępu oraz przejrzystą kalkulacją kosztów.

PSNM rekomenduje ównież wprowadzenie zachęt podatkowych ułatwiających przedsiębiorcom elektryfikację flot. Obejmują one pełne odliczenie VAT dla firmowych BEV także przy użytkowaniu mieszanym, zaliczanie 100% wydatków eksploatacyjnych do kosztów podatkowych, przyspieszoną amortyzację i ulgę na elektromobilność.

Równolegle kluczowe jest poprawienie dostępu do tańszego ładowania: uproszczenie instalacji prywatnych punktów, wspieranie inwestycji na osiedlach wielorodzinnych i ograniczenie kosztów usług na stacjach ogólnodostępnych. PSNM w swoich propozycjach wskazuje możliwość zmian podatkowych dla elektromobilności. Rozwój sieci ładowania wymaga sprawniejszych przyłączeń, rozbudowy sieci elektroenergetycznej i powiązania jej z OZE, magazynami energii oraz inteligentnym ładowaniem.

Korzyści dla przemysłu transportu i samorządów
Należy kontynuować wsparcie zakupu i leasingu elektrycznych pojazdów ciężarowych kategorii N2 i N3 oraz sprawnie zawierać umowy i realizować wypłaty. Pierwsza umowa NFOŚiGW podpisana podczas KNM powinna otworzyć drogę do kolejnych inwestycji, których efekty odczuje polski sektor TSL. Potrzebna jest także infrastruktura ładowania dla ciężkiego transportu, rozwój przewozów intermodalnych i bezemisyjnej logistyki miejskiej.

Zaangażowanie państwa w projekt hubu w Jaworznie powinno tworzyć zamówienia dla polskich dostawców i wzmacniać krajowe badania oraz własność intelektualną. Polski Kod Mobilności należy rozwijać poprzez komercjalizację oprogramowania, sztucznej inteligencji i rozwiązań zapewniających bezpieczeństwo nowych technologii. Wdrożenie KOMPASU 2035 powinno zapewnić przewidywalne warunki inwestycji i reinwestycji, rozwój kompetencji pracowników oraz transformację krajowego łańcucha dostaw.

Samorządy potrzebują stabilnego finansowania zeroemisyjnego transportu publicznego oraz integracji planowania przestrzennego z rozwojem transportu. Rekomendacje zakładają lepszą koordynację połączeń, wspólną ofertę biletową i wygodne przesiadki między środkami transportu, a także bezpieczne przemieszczanie się pieszo i rowerem oraz rozwój mikromobilności i usług współdzielonych. Na obszarach o ograniczonej dostępności komunikacyjnej uzupełnieniem powinien być transport na żądanie. Celem jest poprawa dostępu do pracy, edukacji i usług, przeciwdziałanie wykluczeniu transportowemu oraz poprawa jakości powietrza i ograniczenie hałasu.

- KNM pokazał, że polski ekosystem nowej mobilności jest gotowy do działania. Mamy firmy, technologie i propozycje rozwiązań. Potrzebujemy decyzji, które pozwolą tę gotowość wykorzystać. O powodzeniu transformacji będą świadczyć zamówienia dla polskich przedsiębiorstw, lepszy transport dla mieszkańców i nowe miejsca pracy. To powinien być wspólny cel działań po Kongresie – podkreśla **Agata Wiśniewska-Mazur**, wiceprezeska PSNM.



eprasa.pl 95e9f48b56

POLITYKA

Rydliński: Nadchodzi czas Gibałów, politycznych singli, którzy są w stanie rozbijać obecny duopol

– Duopol Koalicji Obywatelskiej i PiS kruszy się na naszych oczach i to od lat. Pokazał to już w wyborach prezydenckich Karol Nawrocki. On je wygrał dlatego, że poparli go masowo wyborcy zmęczeni dotychczasową polityką. Teraz podobne zjawisko obserwujemy w Krakowie. Najlepszy dowód, że to znacznie szerszy trend – mówi dr Bartosz Rydliński, politolog z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego

Agaton Koziński

Wybory krakowskie są lokalne, to oczywiste. Ale czy w jakiejś mierze mówią one Panu coś o polityce krajowej?

Tak. Tak samo jak wybory w Michigan są wyborami lokalnymi, a jednak mają znaczenie dla wyborów ogólnoamerykańskich.

Zawsze można powiedzieć: co się dzieje w Michigan, zostaje w Michigan.

Widzę to inaczej. Przyspieszone wybory prezydenta Krakowa są swego rodzaju odpowiednikiem amerykańskich wyborów połówkowych - oczywiście w mniejszej skali, ale jednak posiadających ogólnopolską charakterystykę. Przecież gdyby to były faktycznie tylko wybory lokalne, to ani polski premier, ani marszałek Sejmu nie pojechaliby do Krakowa, żeby wspierać swoich kandydatów. Oddzielna sprawa, że bez specjalnego efektu. Ważni politycy krajowi przegrali z samorządowcem Łukaszem Gibałą.

Tylko czy można z tego wyciągać dalekosiężne wnioski? Czarzasty i Tusk wpadli do Krakowa, zjedli po obwarzanku i pojechali dalej. A Gibała buduje sobie ścieżkę w polityce krakowskiej już od kilku wyborów. Ma sukces – ale bez przełożenia na większą politykę.

Pamiętajmy, że Kraków to nie jest Nowy Dwór Mazowiecki, tylko drugie największe miasto w Polsce. Politycznie bardzo dużo ważące. Koalicja Obywatelska przez lata budowała opinię partii, która ma bardzo silne poparcie w dużych miastach. Teraz więc, gdy w dużym mieście przegrywa, ma to swój polityczny ciężar.



FOT. PAP/ART SERVICE

Rydliński: Kraków to drugie największe miasto w Polsce. Koalicja przez lata budowała opinię partii, która ma bardzo silne poparcie w dużych miastach. Teraz więc, gdy w dużym mieście przegrywa, ma to swój polityczny ciężar

Owszem, gdyby to był Gdańsk, Wrocław, Poznań czy Warszawa. Kraków jednak zawsze był trochę inny.

Może Kraków jest inny, ale dwa lata temu Koalicja wygrała w tym mieście wybory. To pokazało, że Kraków znajduje się w jej zasięgu. Ale teraz wszystko wskazuje na to, że je znów straci.

Jakie będzie znaczenie takiej porażki?

Ta porażka będzie rezonować w kolejnych miesiącach. Oczywiście, to nie jest polityczny punkt zwrotny, pewnie za kilka miesięcy mało kto będzie pamiętał, kto wygrał wybory na prezydenta Krakowa. Ale teraz ta porażka dla Koalicji będzie bolesna, tym bardziej, że w kampanię osobiście zaangażował się Donald Tusk. To już kolejna kampania, w której Donald Tusk uważa, że jest wartością dodaną dla kandydata, co okazuje się nieprawdą – wcześniej przekonał się o tym Rafał Trzaskowski.

Nie ma podstaw twierdzić, że w Krakowie Monika Piątkowska przegrała pierwszą turę, bo wsparł ją Tusk. Przegrała przede wszystkim przez to, że wcześniej prezydentem miasta był jej kolega partyjny Aleksander Miszalski.

Pewnie tak. Ale dalej uważam, że temat będzie rezonował w polityce ogólnokrajowej, przynajmniej w najbliższym czasie. Jeśli Łukasz Gibała zostanie nowym prezydentem, to zacznie od porządków. Już teraz w wywiadach zapowiada, że zrobi czystki w Magistracie, dokona przeglądu dokumentów, zakładam, że złoży parę wniosków do prokuratury. To wszystko będzie mieć wpływ także na dużą politykę. W dodatku zadziała tu prawo serii. Najpierw przegrana Trzaskowskiego, potem odwołanie Miszalskiego, następnie przegrana w wyborach na prezydenta Krakowa. To wszystko składa się w logiczną całość. A wspólnym mianownikiem tych wydarzeń będzie Donald Tusk. A przecież miał być tym politykiem, który prowadzi swoich ludzi do zwycięstwa.

W Krakowie przegrywa Koalicja, słabo wypadł też kandydat PiS. Specyfika tego miasta czy zapowiedź zmierzchu duopolu?

Wszystko wskazuje na to, że nadchodzi czas Gibałów, politycznych singli, którzy są w stanie rozbijać duopol. Ten duopol kruszy się na naszych oczach i to od lat. Pokazał to już w wyborach prezydenckich Karol Nawrocki. On je wygrał dlatego, że poparli go masowo wyborcy zmęczeni dotychczasową polityką. Teraz podobne zjawisko obserwujemy w Krakowie. Najlepszy dowód, że to znacznie szerszy trend.

Stawia Pan tezę, że to już koniec duopolu?

Tak. W Krakowie to widać szczególnie wyraźnie. Nie jestem Krakusem, ale po odwołaniu Miszalskiego zadzwoniłem do znajomych mieszkających w tym mieście i zapytałem ich: co teraz? Wszyscy odpowiadali właściwie tak samo - że w Krakowie już dawno skończyły się partie ogólnokrajowe. Trudno wskazać ze strony Koalicji Obywatelskiej i Prawa i Sprawiedliwości naturalnych liderów krakowskiej polityki. Nie ma tam żadnych wyrazistych polityków, którzy są rozpoznawalni również poza własnym okręgiem. A jeżeli nie buduje się rozpoznawalnych liderów w regionie, to później nie powinno dziwić, że ludzie coraz chętniej patrzą na inne listy wyborcze.

Nie wyciąga Pan zbyt daleko idących wniosków? PiS nie ma silnych liderów w wielkich miastach, bo ta partia generalnie nie istnieje w nich politycznie. Platforma z kolei nie ma silnych liderów, bo taka jest metoda zarządzania partią przez Donalda Tuska.

Rzeczywiście, pod względem zarządzania partią Tusk przypomina Angelę Merkel. Ona również robiła wszystko, żeby pozbyć się politycznych konkurentów w CDU. Tyle że ta polityka ma swoje konsekwencje. Jednym z efektów jest choćby to, że później w partii brakuje silnych osobowości. I to się przekłada na polaryzację między PO i PiS. Autentyczne, żywe emocje, które mamy pomiędzy największymi partiami, mogłyby rezonować jeszcze przez wiele lat, ale do tego potrzebni są ludzie. Krakowska polityka pokazuje, zarówno w przypadku Platformy, jak i Prawa i Sprawiedliwości, że z tym jest główny problem.

A co wybory w Krakowie powiedziały nam o innych partiach? Kandydatka Razem zdobyła wyraźnie lepszy wynik niż kandydatka Nowej Lewicy. Tak też się dzieje w polityce krajowej?

Warto dodać, że wystawiona przez Razem Aleksandra Owca była od początku skazywana na porażkę. Przecież teoretycznie nie miała żadnych szans pokonać machiny partyjnej Nowej Lewicy. A jednak stało się inaczej. Tak samo było z Andrzejem Zandbergiem w wyborach prezydenckich.

Rok temu wyprzedził on Magdalenę Biejat o ponad pół punktu procentowego.

eprasa.pl 95e9f48b56

Partia Razem po raz drugi w ciągu roku wygrała na lewicy z Nową Lewicą – z partią, która ma pieniądze, struktury, marszałka, wicepremiera, ministrów i kilkadziesiąt lat politycznego know-how. Ciekawe były przepływy wyborców. Nawet wśród wyborców Nowej Lewicy i tradycyjnego SLD jest duże grono osób, które zagłosowały na Aleksandrę Owcę. To mit, że nie ma przepływu wyborców między partiami. Wyborcy SLD coraz częściej głosują na Partię Razem. Powodów jest sporo. Wyborcy lewicy są bardziej lewicowi niż to wydaje się Włodzimierzowi Czarzastemu. Tymczasem szef Nowej Lewicy w ostatnim czasie nie mówi właściwie niczego, czego nie mógłby powiedzieć Donald Tusk. Może wyborcom SLD podoba się ten styl, ale z drugiej strony on mówi niczego, czego nie powiedziałby premier. W takiej sytuacji pojawia się pytanie: jeżeli mam oryginał, to po co mam wybrać podróbkę? Włodzimierz Czarzasty od lat nie rozumie, że jeżeli Lewica nie będzie się niczym wyróżniać, jeżeli nie będzie się spierać z Donaldem Tuskiem o ważne dla niej sprawy, to jej rola i znaczenie będą marginalne.

Z drugiej strony wrześniowy sondaż CBOS o priorytetach rządu wykazał, że wyborcy KO i Nowej Lewicy mają bardzo podobny sposób patrzenia na większość kwestii.

W polityce koalicyjnej chodzi o pewne pryncypia. Jedyną osobą ze środowiska Nowej Lewicy, która potrafi to komunikować publicznie, jest Agnieszka Dziemianowicz-Bąk. Natomiast Włodzimierz Czarzasty wyraźnie uważa, że bycie bardziej agresywnym, wyrazistszym politykiem, mówiącym ostrzej niż Donald Tusk, zagwarantuje mu sukces wyborczy. Wkrótce przekonamy się, czy to działa.
Na razie batalia prezydencka, czy wybory na prezydenta Krakowa, pokazały, że Nowa Lewica powinna się spodziewać poważnych problemów.

Sondaż, którzy przed chwilą przytoczyłem, pokazał, że głównym problemem w Polsce jest jakość służby zdrowia. Akurat z tą kwestią nie radzi sobie żadna partia.

Takich wyzwań jest więcej. To nie tylko problemy ochrony zdrowia, ale też zapaść usług publicznych, czekanie latami na wyroki sądowe. To także problemy szkół, brak pełnej obsady nauczycieli. Można naprawdę długo wymieniać. To są problemy ogólnokrajowe, które politycznie ważą. A problemy ochrony zdrowia będą zresztą coraz powszechniejsze, bo jesteśmy starzejącym się społeczeństwem.

Czyli na końcu polityczne emocje mogą przegrać z codziennym doświadczeniem wyborców?

Tak. Politycy mogą zajmować się Trybunałem Konstytucyjnym i może ich to naprawdę bardzo emocjonować. Ale na końcu przychodzi proza życia. I tak banalna rzecz, jak to, że dzisiaj człowiek jest pacjentem onkologicznym i czeka na leczenie, może okazać się ważniejsza niż wszystkie polityczne spory.

Tylko jeszcze nikt wyborów nie wygrał obietnicami dotyczącymi służby zdrowia.

Tylko że dzisiaj ten problem jest większy niż kiedykolwiek wcześniej. Ochrona zdrowia naprawdę może stać się w przyszłym roku jednym z podstawowych tematów kampanii do Sejmu. Chodzi o kwestię dostępu do specjalistycznych leków, nieustających kolejek i problemów z dostępem do lekarzy.
Do tego dochodzi napięcie związane z zarobkami lekarzy. Ta sprawa wybuchła latem i trudno uznać ją za załatwioną. Wśród pacjentów będzie się utrzymywało przekonanie, że kwestia lekarzy i ich pracy jest poważnym problemem. Mówimy o sytuacji, w której lekarze deklaratywnie pracują po kilkadziesiąt godzin w ciągu doby. Każdy wie, że to fikcja – a mimo to realnie władze tym problemem się nie zajęły. Politycznie ten temat pozostanie obecny - tak długo, jak Donald Tusk nie pokaże obywatelkom i obywatelom, że poważnie zajął się tą sprawą, rozwiązał problem i wyciągnął konsekwencje wobec winnych.

W pełni zgadzam się z tym, co Pan mówi o problemach ochrony zdrowia. Nie zmienia to jednak faktu, że służba zdrowia od lat jest na czele oczekiwań Polaków. Jednocześnie Polacy stracili wiarę, że politycy są w stanie cokolwiek w tej kwestii zmienić. Dlatego nie wierzę, żeby kwestia ochrony zdrowia nagle urealniła się politycznie do tego stopnia, że deklaracje dotyczące tego, co politycy zrobią ze służbą zdrowia, przesądzą o tym, kto wygra wybory parlamentarne. Wybory rozstrzygną się wokół innych kwestii niż służba zdrowia.

Nie zgadzam się.

Dlaczego?

Jesteśmy starzejącym się społeczeństwem. Ciągle przybywa osób, dla których problemy ochrony zdrowia stają się coraz ważniejsze. Siłą rzeczy znaczenie jakości służby zdrowia jest coraz większe. I ludzie mają nadzieję, że nie będą musieli czekać w niekończących się kolejkach, że nie będą musieli godzinami oczekiwać na pomoc. To jest problem niezwykle uniwersalny. Do lekarza chodzi każdy. I bogaty, i biedny, i mieszkaniec Warszawy, i mieszkaniec małej miejscowości. Wszyscy korzystamy z tego systemu.

Bogaci z wielkich miast coraz częściej przerzucają się płatne abonamenty w prywatnych klinikach.

Skuteczność tych abonamentów najlepiej pokazała pandemia COVID-19. Kiedy trzeba było podłączyć chorego do respiratora, to wszyscy spotykali się w tym samym publicznym szpitalu. Prywatna służba zdrowia w tamtej sytuacji okazała się kompletnie nieprzydatna. W takich sytuacjach tylko powszechna opieka zdrowotna ratuje życie. Tymczasem w Polsce jest z nią coraz gorzej. Implozja systemu w Polsce powiatowej jest szczególnie widoczna. Jeżeli więc przyjąć argument Grzegorza Schetyny, że wybory wygrywa się nie na Wilanowie, tylko w Końskich, to warto zapytać, jak wygląda sytuacja w Końskich i powiecie koneckim, jeśli chodzi o ochronę zdrowia. Partie przegrywają wybory, kiedy nie potrafią sobie z takimi problemami poradzić. Nie potrafią powiedzieć wyborcom, że mają rozwiązanie. Na razie wszystko wskazuje na to, że Koalicja Obywatelska w tej sprawie nie ma się czym pochwalić. I to będzie na niej ciążyć. Jeżeli więc mówi Pan, że Polacy nie wierzą, że rządzący są w stanie rozwiązać jakiś problem, to jednocześnie karzą ich za to, że nie potrafią sobie z nim poradzić.

Dlatego pewnie wszystkie partie w kampanii położą na stole jakieś pomysły – choćby po to, żeby mieć alibi.

To jest możliwe. Nie zdziwiłbym się, gdyby dla przykładu za rok Konfederacja zaczęła mówić o częściowej prywatyzacji świadczeń, na wzór Republiki Czeskiej, gdzie – jak się argumentuje – płaci się niewiele, ale ma się dostęp do lekarza specjalisty od ręki. Z drugiej strony Adrian Zandberg może mówić, że duże korporacje powinny płacić wyższe składki zdrowotne w związku ze swoją działalnością. Nie twierdzę, że takie postulaty pozwolą wygrać wybory. Ale pozwolą zyskiwać poparcie naturalnie oburzonych pacjentów, którzy są jednocześnie wyborcami. A jesteśmy starzejącym się społeczeństwem i co cztery lata tych seniorów w systemie przybywa. Powszechność problemów zdrowotnych będzie więc coraz większa. Uważam, że za osiem lat dyskusje na temat systemu ochrony zdrowia, systemu emerytalnego, demografii czy migracji będą głównymi tematami polskiej polityki.

Jednocześnie obserwujemy dwa zjawiska, widać je w Polsce, ale właściwie w całej Europie. Po pierwsze, rosnące notowania prawicy. Po drugie, coraz większe poparcie dla ugrupowań antysystemowych, które jeszcze nigdy nie były u władzy. Która z tych fal będzie miała większe znaczenie w przyszłorocznej kampanii w Polsce?

Owszem, prawica w całej Europie, szczególnie ta skrajna, rośnie w siłę. Kluczowe pod tym względem okażą się przyszłoroczne wybory prezydenckie we Francji. Ale jako badacz lewicy chciałbym zwrócić uwagę, że również lewica niesocjaldemokratyczna ma swoje sukcesy. Die Linke, która wygrała niedawno wybory lokalne w Berlinie, jest tego przykładem. Podobnie w Szwecji, gdzie Magdalena Andersson wygrała wybory parlamentarne, choć ma problemy ze stworzeniem rządu, ponieważ tamtejsze środowisko lewicowe postawiło socjaldemokratom ciężkie warunki do spełnienia. Ale widzimy trend - coraz częściej bardziej wyrazista lewica zaznacza swoją obecność. Nie używam określenia „skrajna lewica", bo w polskiej czy europejskiej polityce wiele z tych środowisk jest zwyczajnie marginalnych. Ale ta wyrazista lewica coraz częściej wpływa na debatę.

Czy podobne zjawiska będziemy obserwować w Polsce?

Polska może być trochę słabszym odbiciem tych zjawisk, siłą rzeczy ze względu na nasze położenie polityczne w Europie. Potrafię sobie jednak wyobrazić sytuację, w której o tym, kto stworzy rząd, będą decydować głosy różnych ugrupowań, również tych, które dziś są na obrzeżach. Jeden wariant jest taki: Koalicja Obywatelska wygrywa wybory, ale nie ma większości parlamentarnej. Prawo i Sprawiedliwość musi wtedy tworzyć układ składający się z innych ugrupowań, między innymi partii Bosaka, Mentzena i Brauna. Nie ma innego wyjścia. Politycy bardziej doświadczeni ode mnie, na przykład Leszek Miller, mówią w takiej sytuacji, że Jarosław Kaczyński i Grzegorz Braun mogliby się rzucić sobie w ramiona. Widzimy więc, że wpływ populistycznej prawicy na tworzenie rządu mógłby być kluczowy.

A drugi wariant?

Drugi teoretyczny układ jest taki, że – o czym coraz częściej mówi się w Warszawie – Koalicja 15 października startuje z jednej wspólnej listy i wygrywa wybory. Jeżeli jednak sumaryczne poparcie Koalicji Obywatelskiej i Nowej Lewicy, resztek Polski 2050, Polskiego Stronnictwa Ludowego i innych ugrupowań zagwarantuje sukces wyborczy, to od wyniku Razem również może zależeć większość parlamentarna. Słuchając tego, co mówią Adrian Zandberg czy Marcelina Zawisza, wnioskuję, że będą skłonni wejść do takiego rządu, ale pod jednym warunkiem: Donald Tusk nie będzie jego premierem. To będzie pewne novum w polskiej polityce.
W pewnym sensie ugrupowania pozostające poza dotychczasowym układem będą miały wpływ na sytuację. Jest to zjawisko, które ma miejsce w Europie. U nas je widać słabiej – ale w najbliższych wyborach może mieć kluczowy wpływ na to, kto później utworzy nowy rząd.

REKLAMA 0311461412

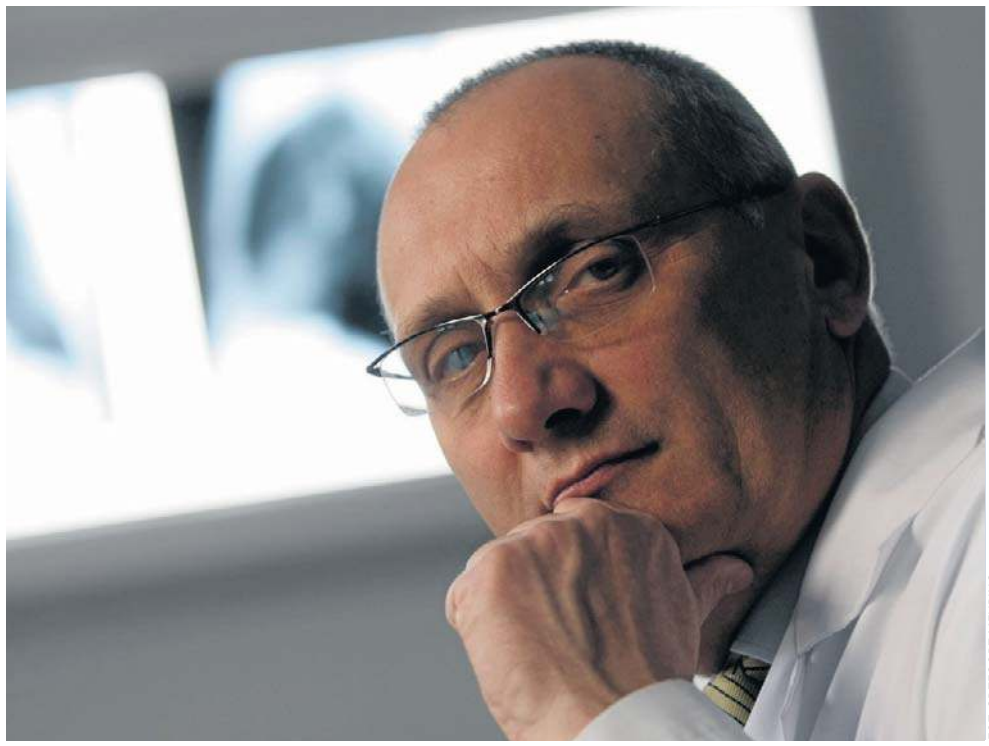

eprasa.pl 95e9f48b56

ZDROWIE

Rzecz nie w odpowiedziach, ale w coraz lepszych pytaniach. Sukcesy i rozczarowania - onkologia XXI wieku

– Niechętnie używam słowa „przełom" w onkologii, bo jest ono nadużywane i często budzi niepotrzebne emocje. Najczęściej nowe leki przynoszą postęp małymi krokami. Ale były też osiągnięcia, które rzeczywiście zasadniczo zmieniły leczenie. Przykładem takiego wielkiego sukcesu były terapie celowane – mówi prof. dr hab. Jacek Jassem, onkolog, prezes Polskiej Ligi Walki z Rakiem

Jolanta Gromadzka-Anzelewicz



FOT. GRZEGORZ MEHRING

Profesor dr hab. Jacek Jassem

Media donoszą o kolejnych sukcesach onkologii, a nowotwory nadal pozostają jedną z głównych przyczyn zgonów...

Onkologia należy do najszybciej rozwijających się dziedzin medycyny. Trzeba jednak pamiętać, że pojęcie raka obejmuje około dwieście różnych chorób. W niektórych postęp ostatnich 25 lat był spektakularny, w innych znacznie mniejszy. Są odkrycia, które rzeczywiście zmieniły losy pacjentów, ale są też takie, które budziły wielkie nadzieje, ale okazały się rozczarowaniem. I właśnie o tych sukcesach i rozczarowaniach warto mówić równocześnie.

Które osiągnięcie naprawdę zmieniło onkologię?

Jednym z pierwszych wielkich sukcesów były terapie celowane. Symbolem tego przełomu stał się lek imatynib, zastosowany w przewlekłej białaczce szpikowej. Skala sukcesu była tak duża, że na okładce prestiżowego magazynu „Time" z kwietnia 2000 roku pojawił się tytuł sugerujący, że zaczynamy wygrywać walkę z rakiem. Na początku XXI wieku większość chorych na przewlekłą białaczkę szpikową umierała w ciągu kilku lat od rozpoznania. Dziś, dzięki terapiom celowanym, chorzy żyją przez wiele lat, a ich czas przeżycia zbliżył się do średniej populacyjnej. Większość nie umiera już z powodu białaczki, ale z innych, naturalnych przyczyn. Co ciekawe, okazało się, że imatynib jest także skuteczny w zupełnie innym nowotworze – GIST, czyli guzie podścieliskowym przewodu pokarmowego. Jest to nowotwór bardzo oporny na klasyczną chemioterapię i często nie kwalifikujący się do operacji. Po zastosowaniu imatynibu możemy natomiast obserwować spektakularną regresję, która niekiedy umożliwia leczenie operacyjne i pełne wyleczenie. W momencie tego odkrycia GIST był nowotworem mało znanym nawet wśród specjalistów. Dopiero poznanie jego biologii molekularnej i pojawienie się skutecznego leczenia sprawiły, że zaczęliśmy postrzegać go jako wyraźnie odrębną jednostkę. To niezwykły przykład: ten sam lek może działać w przewlekłej białaczce szpikowej i w GIST – dwóch zupełnie innych nowotworach, ponieważ w obu hamuje określony mechanizm molekularny napędzający ich rozwój. I to właśnie zapoczątkowało nowy sposób myślenia w onkologii: pytamy już nie tylko „gdzie znajduje się nowotwór?", ale także „jaka zmiana molekularna jest jego przyczyną?".

No dobrze, ale to dość rzadkie nowotwory...

To był dopiero początek. Potem ruszyła lawina. Dobrym przykładem jest rak płuca – jeden z najczęstszych nowotworów. Kiedy zaczynałem swoją zawodową ścieżkę, raka płuca dzieliliśmy na drobnokomórkowego i niedrobnokomórkowego. W tej drugiej grupie wyróżnialiśmy jeszcze kilka typów histologicznych, ale nie miało to większego wpływu na wybór leczenia. Dzisiaj wiemy, że rak gruczołowy, najczęstsza postać histologiczna raka płuca, obejmuje wiele biologicznie odmiennych podtypów, definiowanych przez określone zaburzenia molekularne. Wyróżniamy je dlatego, że część z nich stanowi cel dla odpowiednio dobranych leków. W niektórych takich podtypach rozsianego raka płuca osiągamy dziś wyniki, o których jeszcze niedawno trudno było marzyć. Na przykład u chorych z rearanżacją genu ALK, leczonych jednym z inhibitorów ALK najnowszej generacji – po siedmiu latach ponad połowa chorych nadal żyje bez progresji choroby. Jeszcze kilkanaście lat temu większość takich pacjentów umierała w ciągu dwóch lat. Co więcej, terapie celowane znalazły zastosowanie także we wcześniejszych stadiach raka płuca, jako uzupełnienie leczenia miejscowego, i w wybranych grupach bardzo wyraźnie zmniejszają ryzyko nawrotu.

A immunoterapia?

To kolejny wielki krok w onkologii. Dla mnie także trochę sentymentalna podróż, bo mój doktorat w 1980 roku dotyczył immunoterapii czerniaka. Wtedy jednak była to immunoterapia dość prosta i niezbyt skuteczna, co zresztą uczciwie pokazałem. Prawdziwa rewolucja nastąpiła znacznie później, wraz z odkryciem tzw. punktów kontrolnych odpowiedzi immunologicznej. Znaczenie tego odkrycia najlepiej pokazuje fakt, że James P. Allison i Tasuku Honjo otrzymali za nie w 2018 roku Nagrodę Nobla. Immunoterapia różni się zasadniczo od chemioterapii czy leków molekularnie ukierunkowanych. Nie atakuje bezpośrednio komórki nowotworowej. Jej istotą jest odblokowanie układu immunologicznego, który nowotwór potrafi skutecznie hamować. Nasze limfocyty mają zdolność rozpoznawania i niszczenia komórek nowotworowych, ale nowotwór wykorzystuje mechanizmy, które tę odpowiedź osłabiają. Leki immunologiczne zdejmują część tych „hamulców" i pozwalają układowi odpornościowemu skutecznie zaatakować nowotwór.

Największa rewolucja nastąpiła chyba w leczeniu czerniaka?

Czerniak przez wiele lat miał opinię wyjątkowo groźnego nowotworu, wobec którego w stadium rozsiewu byliśmy właściwie bezradni. Immunoterapia całkowicie zmieniła tę sytuację. U części chorych możemy dziś uzyskać wieloletnią kontrolę choroby i przeżycia, które wcześniej były zupełnie niewyobrażalne. Niedawno zwrócił się do mnie o pomoc bardzo znany człowiek, u którego rozpoznano rozsianego czerniaka. Po kilku miesiącach immunoterapii zadzwonił i zapytał: „W tenisa już gram, ale czy mogę grać w squasha? Bo wiem, że jest bardziej wyczerpujący". Odpowiedziałem: „Graj, w co chcesz. Możesz żyć normalnie". Jeszcze kilkanaście lat wcześniej taka rozmowa z chorym na rozsianego czerniaka byłaby właściwie niewyobrażalna. Ale czerniak jest tylko jednym z przykładów. Immunoterapia jest dziś stosowana w wielu nowotworach – między innymi w raku płuca, nerki, pęcherza moczowego czy nowotworach głowy i szyi. W niektórych sytuacjach zastępuje chemiotera-

REKLAMA 0111562220

FIRMA SPRZEDA budynek przemysłowy
w Poznaniu przy ul. Malwowej 158.



Powierzchnia użytkowa budynku – 3202,80 m², powierzchnia gruntu – 0,8701 ha.
Tel. kontaktowy 603 920 399

eprasa.pl 95e9f48b56

pię, a w innych jest z nią łączona. Coraz częściej stosuje się ją także we wcześniejszych stadiach choroby, przed lub po leczeniu operacyjnym oraz w skojarzeniu z radioterapią. W wielu z tych nowotworów istotnie poprawiła rokowanie.

Jeszcze dalej idą terapie komórkowe. Na czym polega ich wyjątkowość?

To kolejny niezwykły rozdział współczesnej onkologii. Najbardziej spektakularnym przykładem są terapie CAR-T, które czasem nazywa się „żywym lekiem". Z krwi pacjenta izolujemy limfocyty i modyfikujemy je genetycznie poza organizmem. W ten sposób wyposażamy je w specjalny receptor, który pozwala rozpoznawać określony cel na komórkach nowotworowych. Następnie limfocyty namnażamy i po około dwóch tygodniach podajemy pacjentowi z powrotem. Po podaniu mogą latami utrzymywać w organizmie i niszczyć komórki nowotworowe. To niezwykła koncepcja: lekiem stają się odpowiednio „uzbrojone" własne komórki chorego. Tak się złożyło, że sam przeszedłem takie leczenie jako jeden z pierwszych pacjentów w Polsce. Jak widać – z dobrym efektem.

Ogromnie zmienił się też sposób, w jaki dziś rozpoznajemy sam nowotwór. Jaką rolę odgrywa profilowanie molekularne?

Bardzo dużą. W wielu nowotworach nie powinniśmy dziś rozpoczynać leczenia systemowego, zanim nie poznamy najważniejszych cech molekularnych guza. Dzięki temu możemy znacznie lepiej indywidualizować terapię, zwiększać jej skuteczność i często unikać niepotrzebnej toksyczności. Kamieniami milowymi były Human Genome Project, a później The Cancer Genome Atlas. Dzięki takim projektom zaczęliśmy coraz dokładniej poznawać molekularną strukturę nowotworów. Nie była to wiedza czysto akademicka. Dzisiaj konkretna zmiana molekularna może bezpośrednio decydować o tym, jaki lek otrzyma pacjent. Nowotwór jest bowiem chorobą napędzaną zmianami genetycznymi zachodzącymi w jego komórkach.

Czyli mamy chorobę nowotworową „zapisaną w genach"?

Trzeba tu rozróżnić dwie rzeczy. Każdy nowotwór rozwija się wskutek zmian genetycznych w komórkach nowotworowych, ale najczęściej zmiany te powstają dopiero w ciągu życia i nie są dziedziczne.

W części przypadków istnieje jednak wrodzona predyspozycja do zachorowania – czyli zmiana genetyczna, która jest obecna od urodzenia we wszystkich komórkach organizmu i może być przekazywana potomstwu. Taka dziedziczona zmiana zwiększa ryzyko rozwoju określonych nowotworów, choć oczywiście nie oznacza, że sam nowotwór jest dziedziczony.

A czym jest leczenie agnostyczne?

To bardzo interesująca koncepcja, która zmienia tradycyjny sposób klasyfikowania nowotworów. Dotychczas leki były zwykle rejestrowane do leczenia konkretnego nowotworu – na przykład raka płuca, raka piersi czy raka jelita grubego. W leczeniu agnostycznym nie ma znaczenia narząd, z którego wywodzi się nowotwór. Decydujące jest określone zaburzenie molekularne, które może występować w zupełnie różnych nowotworach. Jeżeli więc określony defekt molekularny znajdziemy w jakimś nowotworze, możemy zastosować lek skierowany właśnie przeciwko temu zaburzeniu. To kolejny krok od leczenia „nowotworu określonego narządu" do blokowania specyficznego zaburzenia molekularnego, które napędza jego rozwój.

To były sukcesy. A rozczarowania?

Dobrym przykładem jest wysokodawkowa chemioterapia. Wydawało się, że skoro chemioterapia zabija komórki nowotworowe, to zwiększenie dawki pozwoli zniszczyć także te najbardziej oporne. Problem polegał na tym, że bardzo wysokie dawki uszkadzały również zdrowe tkanki, przede wszystkim szpik, dlatego leczenie wymagało później przeszczepienia komórek krwiotwórczych. Przez pewien czas metoda była bardzo popularna, szczególnie w Stanach Zjednoczonych. W szczytowym okresie u chorych na zaawansowanego raka piersi wykonywano kilka tysięcy takich procedur rocznie. Późniejsze badania pokazały jednak, że w nowotworach litych nie przynosi ona oczekiwanych korzyści. W większości z nich praktycznie przeszła do historii, choć nadal ma ważne zastosowanie w hematoonkologii.

Próbowano także „zagłodzić raka"?

Tak. Z terapiami antyangiogennymi wiązano ogromne nadzieje. Rozumowanie wydawało się bardzo logiczne: nowotwór potrzebuje własnej sieci naczyń krwionośnych, które dostarczają mu tlen i substancje odżywcze. Jeżeli zahamujemy tworzenie tych naczyń, guz powinien przestać rosnąć albo wręcz obumrzeć. Koncepcja wywołała ogromny entuzjazm i przez pewien czas wydawało się, że znaleźliśmy nowy uniwersalny sposób leczenia raka. Okazało się jednak, że biologia nowotworów jest znacznie bardziej złożona. Leki antyangiogenne działają i nadal są stosowane w onkologii ale ich efekt okazał się znacznie skromniejszy, niż początkowo oczekiwano.

A terapie genowe?

To niezwykle interesujący obszar, ale również tutaj pierwsze nadzieje były większe niż osiągnięte dotychczas efekty. Klasyczna idea terapii genowej zakładała, że będziemy mogli naprawiać lub zastępować uszkodzone geny odpowiedzialne za rozwój nowotworu. Okazało się to znacznie trudniejsze, niż początkowo sądziliśmy. Terapie genowe odnoszą dziś spektakularne sukcesy w niektórych rzadkich chorobach, między innymi neurologicznych czy metabolicznych. W onkologii ich klasyczna postać nadal ma jednak bardzo ograniczone zastosowanie. Co ciekawe, sama inżynieria genetyczna znalazła w onkologii bardzo ważne miejsce – najlepszym przykładem są właśnie komórki CAR-T, które modyfikujemy genetycznie poza organizmem chorego.

Duże nadzieje wiązano też ze szczepionkami przeciwnowotworowymi. Co z nich zostało?

One rzeczywiście przez lata budziły ogromne oczekiwania. Wydawało się, że skoro szczepionki potrafią nauczyć układ odpornościowy rozpoznawania drobnoustrojów, to podobnie pomogą rozpoznawać komórki nowotworowe. Koncepcja była bardzo atrakcyjna, ale klasyczne terapeutyczne szczepionki przeciwnowotworowe nie spełniły dotąd pokładanych w nich nadziei. Nie oznacza to jednak, że kierunek został porzucony. Przeciwnie – rozwój technologii mRNA i możliwość tworzenia spersonalizowanych szczepionek przeciwko neoantygenom konkretnego nowotworu otworzyły nowy rozdział. Pierwsze wyniki są bardzo obiecujące, zwłaszcza w czerniaku.

Czyli bilans ostatnich 25 lat jest jednak pozytywny?

Zdecydowanie tak. Sukcesy w onkologii są ogromne, choć oczywiście nie we wszystkich nowotworach postęp był równie szybki. Najważniejsza lekcja jest chyba taka, że z jednej strony nauczyliśmy się wykorzystywać biologię nowotworu znacznie skuteczniej, niż kiedyś przypuszczaliśmy. Z drugiej – sama biologia okazała się znacznie bardziej złożona, niż nam się wydawało. Dlatego powiedziałbym, że postęp w onkologii nie polega na tym, że mamy coraz więcej odpowiedzi. Polega na tym, że zadajemy coraz lepsze pytania.

REKLAMA 0011591306

WYCIĄG Z OGŁOSZENIA

Wójt Gminy Łubowo

ogłasza pierwszy przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż nieruchomości gruntowych położonych w miejscowości Lednogóra, gm. Łubowo

1. Opis nieruchomości:
- nieruchomość gruntowa oznaczona w ewidencji gruntów jako działka o nr ewid. **225/3** o powierzchni **0.1122 ha,** zapisana w księdze wieczystej nr PO1G/00021790/2 (bez obciążeń) w Sądzie Rejonowym w Gnieźnie,
- nieruchomość gruntowa oznaczona w ewidencji gruntów jako działka o nr ewid. **225/8** o powierzchni **0.1151 ha,** zapisana w księdze wieczystej nr PO1G/00021790/2 (bez obciążeń) w Sądzie Rejonowym w Gnieźnie,
- nieruchomość gruntowa oznaczona w ewidencji gruntów jako działka o nr ewid. **226/1** o powierzchni **0.1492 ha,** zapisana w księdze wieczystej nr PO1G/00028995/8 (bez obciążeń) w Sądzie Rejonowym w Gnieźnie.

Ww. działki zgodnie z miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego dla działek nr ewid. 226, 225/3 i 225/8 w obrębie Lednogóra, zatwierdzonym Uchwałą Nr XXIV/193/2026 z dnia 6 lutego 2026 r. opublikowaną w Dz. Urz. Woj. Wielkopolskiego poz. 1595 z dnia 19.02.2026 r. przeznaczone są pod teren zabudowy usługowej, oznaczony symbolem: 1U

Działki o nr 225/3 i 225/8 stanowią działki niezabudowane, przez teren obu działek przebiega napowietrzna linia energetyczna wraz z posadowionymi słupami, jak również przebiega sieć kanalizacyjna ksD200 i ksD63, sieć wodna, sieć gazowa gs90. Dostęp do drogi publicznej będzie możliwy po uzyskaniu zgody zarządcy drogi na lokalizację zjazdu. Na działkach zostanie ustanowiona służebność przejazdu i przechodu o szerokości 6m na rzecz działki nr 226/2 i 225/7.

Działka nr 226/1 stanowi działkę zabudowaną parterowym budynkiem handlowym o powierzchni użytkowej 102,00 m^2. Budynek stanowi przedmiot najmu. Umowa najmu zawarta na czas nieokreślony, z zachowaniem trzymiesięcznego okresu wypowiedzenia. Na gruncie posadowiony jest paczkomat, umowa najmu gruntu o pow. 6,50 m^2 została zawarta na czas nieokreślony, z zachowaniem trzymiesięcznego okresu wypowiedzenia. Przez teren działki przebiega linia energetyczna. Na działkę istnieje zjazd z drogi głównej, nie ma jednak wyjazdu. W celu uzyskania tego dostępu właściciel działki powinien wystąpić do zarządcy drogi z wnioskiem o wydanie zezwolenia na lokalizację zjazdu.

Nieruchomość jest sprzedawana na podstawie danych z ewidencji gruntów. Nabywca nabywa nieruchomość w stanie istniejącym. W przypadku, gdyby sieci lub urządzenia kolidowały z realizacją zamierzonego przedsięwzięcia Nabywca zobowiązany jest do ich przełożenia własnym kosztem i staraniem, w uzgodnieniu z właścicielami sieci.

Warunkiem przetargu jest łączne nabycie działki nr 225/3, 225/8 i 226/1 przez jeden podmiot.

2. Łączna cena wywoławcza brutto w wysokości **800.000,00 zł** (słownie: osiemset tysięcy zł 00/100). Na cenę wywoławczą składa się kwota:
- 200.000,00 zł (zawiera 23% VAT) za niezabudowaną działkę nr 225/3,
- 200.000,00 zł (zawiera 23% VAT) za niezabudowaną działkę nr 225/8,
- 400.000,00 zł (zwolnienie z opodatkowania) za zabudowaną działkę nr 226/1.

W przeliczeniu na euro cena wywoławcza brutto wynosi 182.949,14 euro wg kursu NBP z dnia 29.09.2026 r. Warunkiem przystąpienia do przetargu jest wpłata wadium. Wadium wynosi 80.000,00 zł (słownie: osiemdziesiąt tysięcy zł 00/100).

3. Przetarg odbędzie się w dniu 8 grudnia 2026 r. o godz. 10.00 w Urzędzie Gminy w Łubowie (sala konferencyjna).

4. Wadium należy wpłacić na konto Gminy Łubowo **z odpowiednim wyprzedzeniem tak, aby środki pieniężne znalazły się na koncie Gminy Łubowo najpóźniej w dniu 4 grudnia 2026 r.**

Numer rachunku do wpłaty wadium zależy od terminu dokonania wpłaty:
- wpłaty dokonane **do dnia 31 października 2026 r. –** na rachunek prowadzony w Banku Nowym S.A. nr **74 9068 0003 0000 0101 4006 5402**
- wpłaty dokonane **od dnia 1 listopada 2026 r. –** na rachunek prowadzony w Erste Bank Polska S.A. nr **87 1090 1375 0000 0001 6842 3081.**

Za termin wniesienia wadium przyjmuje się termin uznania wymaganej kwoty na właściwym rachunku bankowym.

W tytule wpłaty wadium należy wpisać imię i nazwisko, adres lub nazwę i siedzibę firmy zgłaszającej udział w przetargu oraz numer i położenie działki.

5. Przetarg zostanie przeprowadzony zgodnie z ustawą o gospodarce nieruchomościami z dnia 21 sierpnia 1997 r. (t.j. Dz. U. z 2026 r. poz. 399 ze zm.) i rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 14 września 2004 r. w sprawie sposobu i trybu przeprowadzania przetargów oraz rokowań na zbycie nieruchomości (t.j. Dz. U. 2021 poz. 2213).

6. W przetargu mogą brać udział osoby fizyczne i prawne.

7. Przetarg będzie ważny bez względu na liczbę uczestników przetargu, a rozstrzygnięcie jego pozytywne, jeżeli przynajmniej jeden uczestnik zaoferuje co najmniej jedno postąpienie powyżej ceny wywoławczej. Postąpienie nie może wynosić mniej niż 1% ceny wywoławczej, z zaokrągleniem w górę do pełnych dziesiątek złotych.

8. W przypadku wygrania przetargu wadium wpłacone przez oferenta wlicza się w poczet ceny nabycia przedmiotu przetargu, a pozostałym uczestnikom zostaje zwrócone po przetargu. Wadium nie ulega zwrotowi, jeżeli nabywca wyłoniony w drodze przetargu nie przystąpi bez usprawiedliwienia do zawarcia umowy kupna - sprzedaży w terminie określonym przez organizatora przetargu.

9. Koszty związane z zawarciem umowy kupna-sprzedaży ponoszą nabywcy nieruchomości.

10. Ogłoszenie i warunki przetargu wywieszone zostały na tablicy ogłoszeń w Urzędzie Gminy w Łubowie, na stronie internetowej www.lubowo.pl. oraz na tablicy ogłoszeń Sołectwa Lednogóra.

Organizator przetargu z uzasadnionej przyczyny może odwołać ogłoszony przetarg.

Dodatkowych informacji odnośnie przetargu można uzyskać w Urzędzie Gminy w Łubowie, pok. nr 11, tel. 61 427 59 29.

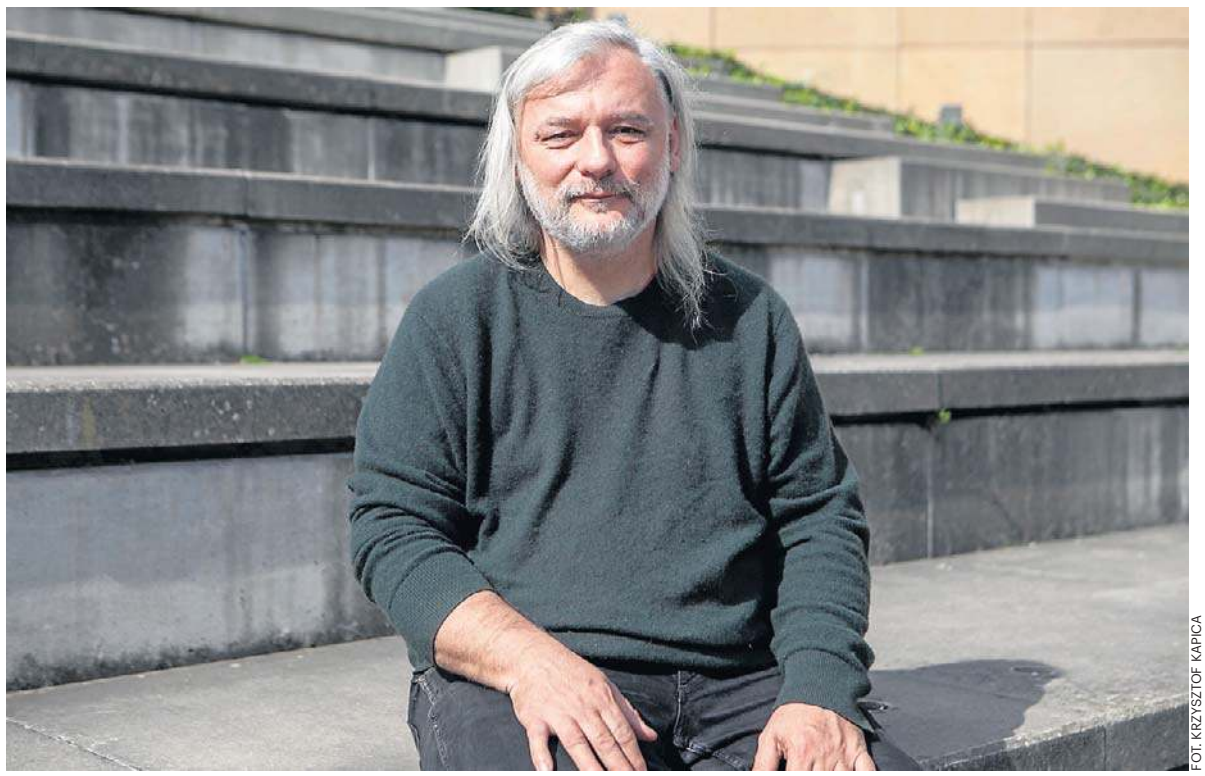
eprasa.pl 95e9f48b56

ROZMOWA

Chciałbym, żeby światowy zjazd etnobotaników odbył się w Rzeszowie

Prof. Łukasz Łuczaj z Uniwersytetu Rzeszowskiego został wybrany prezydentem The Society for Ethnobotany. To międzynarodowe towarzystwo skupiające naukowców badających relacje człowieka, kultury i świata roślin. Kadencja profesora rozpocznie się w 2027 roku

Marcin Żminkowski



FOT. KRZYSZTOF KAPICA

Prof. Łukasz Łuczaj z Uniwersytetu Rzeszowskiego od ponad 20 lat prowadzi badania etnobotaniczne

Co dla pana oznacza wybór na prezydenta The Society for Ethnobotany?

– To przede wszystkim miłe wyróżnienie, ale również coś ważnego dla Uniwersytetu Rzeszowskiego. Osoba, która znajduje się we władzach międzynarodowej organizacji naukowej, przyczynia się do umiędzynarodowienia uczelni i działalności jej naukowców. Jest to szczególnie istotne w przypadku mniejszych uczelni. Polscy badacze są obecni na międzynarodowych konferencjach i w organizacjach naukowych, ale nie wszyscy angażują się w tego typu działalność. W moim przypadku towarzystwo jest szczególnie ważne, ponieważ znam je od wielu lat.

Kiedy zetknął się pan z nim po raz pierwszy?

– Po raz pierwszy uczestniczyłem w jego zjeździe w 2010 roku w Meksyku. Od tego czasu brałem udział w kolejnych spotkaniach, choć oczywiście nie co roku. To moje ulubione stowarzyszenie. Mam tam wielu przyjaciół i osoby, które prowadzą badania podobne do moich. Dlatego propozycja kandydowania była dla mnie naturalna. Były wybory i był również drugi kandydat, bardzo poważny naukowiec. Nie było więc tak, że zostałem wybrany bez konkurencji.

Jakie zadania będą najważniejsze podczas pana kadencji?

– Mam jeden konkretny cel. Chciałbym, żeby pod koniec mojej kadencji zjazd The Society for Ethnobotany odbył się w Rzeszowie. Rozmawiałem już na ten temat z rektorem Uniwersytetu Rzeszowskiego i mam nadzieję, że uda się to zorganizować. Byłaby to dobra okazja, żeby pokazać zarówno uczelnię, jak i Rzeszów międzynarodowemu środowisku naukowemu.

Etnobotanika zajmuje się między innymi wiedzą o roślinach, która przez lata była przekazywana z pokolenia na pokolenie. Jak dużo tej wiedzy bezpowrotnie tracimy?

– Tracimy większość. Następuje coś, co można nazwać dewaluacją wiedzy. Nie chodzi tylko o to, że wiedza nie jest zapisywana. Samo jej zapisanie również nie wystarczy, ponieważ wiele z tych umiejętności musi być ucieleśnionych, zdobytych poprzez doświadczenie. Dawniej człowiek uczył się, będąc razem z rodzicami czy dziadkami. Jeżeli ktoś pasł krowy, poznawał rośliny, obserwował, które zwierzęta jedzą, których unikają, dotykał ich, wąchał. Jeśli ktoś wykonywał narzędzia, wiedział nie tylko, z jakiego drzewa można je zrobić, ale również, kiedy pozyskać drewno, jak je obrobić i jak wykorzystać.

Do tego dochodziły relacje duchowe. Dwa lata temu byłem w Rumunii u jednego z ostatnich zbieraczy hub, z których wykonywano kapelusze. Kiedy znalazł piękną hubę, modlił się i dziękował Bogu za to, że ją znalazł. To cały zestaw zachowań i doświadczeń, które stopniowo zanikają.

Czy można tę wiedzę jeszcze uratować?

– Częściowo tak. Możemy ją zapisywać, nagrywać, robić filmy pokazujące ludzi wykonujących tradycyjne narzędzia czy opowiadających o swoich doświadczeniach. Ale trzeba pamiętać, że świat się zmienia. Niektóre gatunki roślin wymierają, pojawiają się inne, zmieniają się też sposoby życia ludzi. Nie wszystko da się zachować. Problemem jest również to, że dzieci coraz mniej czasu spędzają z dorosłymi przy praktycznych czynnościach. Dawniej uczyły się od rodziców i dziadków przez wspólne życie i pracę. Dzisiaj rodzice chodzą do pracy, dzieci do szkoły, a potem każdy zajmuje się swoimi sprawami. Tego wspólnego bycia i robienia rzeczy jest znacznie mniej.

Czy szkoła mogłaby w jakimś stopniu zastąpić tę utraconą międzypokoleniową transmisję wiedzy?

– Myślę, że tak. Można angażować szkoły w różnego rodzaju aktywności i zapraszać do nich osoby posiadające tradycyjną wiedzę. Słyszałem o inicjatywach, w których osoby starsze odwiedzały szkoły i opowiadały dzieciom o swoim życiu. Nie wszystkie dzieci mają dziś dziadków, więc można powiedzieć, że takie osoby stają się dla nich swoistymi „adoptowanymi dziadkami". Mogą opowiadać historie, pokazywać dawne sposoby pracy, mówić o roślinach czy przyrodzie.

Możemy też zachęcać ludzi do korzystania z roślin leczniczych czy użytkowych, które rosną wokół nas. Oczywiście potrzebna jest tutaj wiedza i rozsądek.

Czy współczesne przepisy prawa nie utrudniają czasem zachowania tradycyjnych sposobów korzystania z przyrody?

– Mamy tendencję do coraz większej kontroli i sterylizacji różnych dziedzin życia. Istnieją przepisy, które ograniczają lub wręcz delegalizują pewne tradycyjne zachowania. Coś, co kiedyś było naturalne, zostaje objęte coraz większą liczbą regulacji. To jest problem, jeżeli chcemy zachować tradycyjną wiedzę i praktyki. Przejawem negatywnych praktyk ustawodawczych jest próba przegłosowania okropnej ustawy „Lex Szarlatan", która miała dać kontrolę państwa m. in. nad tym co ludzie mówią, myślą czy radzą, jak się leczyć. Czyli coś, co kiedyś było naturalne, teraz stara się to społeczeństwu zakazywać.

Czego światowi naukowcy mogą nauczyć się od Podkarpacia? Czy my również zatraciliśmy już kontakt z przyrodą?

– Bardzo ciekawe pytanie pan zadał. Bo mamy się czym pochwalić. Bardzo ciekawą pracę szeroko obecnie cytowaną w literaturze światowej wykonała kilka lat temu moja doktorantka, obecnie dr Renata Kasper-Pakosz z Leżajska. Prowadziła inwentaryzację roślin i grzybów sprzedawanych na targowiskach Podkarpacia – między innymi w Rzeszowie, Leżajsku i Przeworsku. Przez dwa lata, co dwa tygodnie, odwiedzała te targowiska, fotografowała i notowała, co jest sprzedawane, a także stworzyła zielnik. Na targu w Rzeszowie odkryła dwa nowe taksony grzybów dla mykobioty Polski. To wyjątkowa dokumentacja, ponieważ Rzeszów i okoliczne miasta są jedynymi miejscami w Europie, które mają taką dokumentację.

Co zobaczy zagraniczny naukowiec, który przyjedzie na rzeszowski targ?

– Żywe, pełne targowisko z serami, jajkami, grzybami i różnymi roślinami. Można znaleźć pędy sosny, czosnek niedźwiedzi i wiele innych produktów. To fascynujące i piękne. Zawsze można tam pokazać coś ciekawego zagranicznym naukowcom. Zresztą ja zabieram zagranicznych gości właśnie na taką pierwszą wizytę na nasze targowisko w Rzeszowie. Nie wszystkie targowiska mają się jednak równie dobrze. Na przykład targ w Krośnie podupada. Jest tam mniej osób sprzedających sery i znacznie mniej grzybów. Rzeszowski targ na szczęście wciąż się trzyma.

Czyli podczas swojej kadencji będzie pan próbował pokazać światu nie tylko polską etnobotanikę, ale także Podkarpacie?

– Zdecydowanie. Jeżeli uda się doprowadzić do organizacji zjazdu Society for Ethnobotany w Rzeszowie, będzie to znakomita okazja, żeby pokazać, że również tutaj mamy bardzo ciekawe rzeczy do powiedzenia i do pokazania.

eprasa.pl 95e9f48b56

LUDZIE

Był na dnie. Dziś zdobywa medale i pomaga innym w szponach nałogu

Dziś mówi, że z „każdego g... da się wyjść" i wyciąga rękę do tych, których życiowe drogi nie były proste. Rafał Szopa sam kiedyś był na dnie, życiowe perypetie i nałóg pokrzyżowały sportową karierę kick boxera. Teraz na ścianie chwały w jego krakowskim klubie medale, puchary, dyplomy, a on sam mówi: – Od dziewięciu lat nie piję. Sport i obecna żona uratowali mi życie

Anna Piątkowska

– Startuję w zawodach, jest dobrze w życiu osobistym i sportowym, ale jestem alkoholikiem – trzeźwym alkoholikiem. Od dziewięciu lat nie piję – mówi Rafał Szopa, utytułowany reprezentant kadry narodowej Polski w kick boxingu, trener i współzałożyciel klubu Szopa Fight Team w Krakowie.

W sierpniu stanął na najwyższym podium, reprezentując Polskę na odbywającym się w Budapeszcie Pucharze Świata Weteranów w Kick Boxingu. Jak mówi, to spełnione marzenie, ale nie koniec sportowych aspiracji. Obok Pucharu Świata z Węgier w tym roku Rafał Szopa zdobył też złoto w Międzynarodowym Pucharze Polski i Pucharze Europy. Zdjęcie z trofeum z Budapesztu na swoim profilu w mediach społecznościowych opatrzył komentarzem: „z każdego g... da się wyjść".



FOT. ANDRZEJ BANAŚ



FOT. ANDRZEJ BANAŚ

Rafał Szopa sam kiedyś był na dnie, życiowe perypetie i nałóg pokrzyżowały sportową karierę

Zero perspektyw – na totalnym dnie

Kick boxing zaczął trenować jeszcze w podstawówce. Na ścianie w klubie przy ul. Królewskiej fotografie mistrzów walk, wśród nich dawni idole dzisiejszego mistrza.

W latach 90. Rafał Szopa pracował jako ochroniarz na krakowskiej uczelni, tam zdarzył się wypadek, po którym karierę sportową musiał na długo zawiesić na kołku. Z ataku, którego wówczas doświadczył, ledwo uszedł z życiem, dziś mówi: to, że przeżyłem, to cud. Powikłania po leczeniu, żółtaczka typu C i chemia, która miała ratować życie, dewastowały organizm.

O sporcie nie było mowy, jego miejsce na długie lata zajął alkohol, niszcząc organizm, relacje. Żeby zdobyć najtańszy alkohol, posuwał się nawet do kradzieży. Ma w swoim życiu też etap bezdomności.

– Jeden z terapeutów stwierdził, że mój nałóg to Zespół Stresu Pourazowego (PTSD) – mówi Rafał Szopa. – Byłem na dnie. Nie widziałem żadnych perspektyw, chciałem ze sobą skończyć. Gdybym się w porę nie otrząsnął, to byśmy dziś nie rozmawiali. Życie uratowali mi synowie, pomimo że nie było ich wtedy przy mnie – wyobraziłem sobie, że stoją nad moją trumną. Nie mogłem im tego zrobić.

Byłem już na dnie

Terapie – a było ich wiele – nie przynosiły pożądanych rezultatów. – Nie stosowałem się do zasad. Osiągnąłem totalne dno. Chyba było mi to potrzebne – wtedy się otrząsnąłem. Wielką rolę odegrała moja żona i powrót do sportu. Nie wiem, co we mnie widziała, bo poznałem ją w największym stadium mojego picia.

Zaufali też trenerzy. Z maty na pierwszych zawodach schodził porządnie obity i choć walkę przegrał, dała mu inne zwycięstwo.

– Tej walki nie zapomnę nigdy. Dostałem strasznie, ale wtedy się zaczęło moje trzeźwienie. Wiedziałem już, że chcę wrócić do sportu, ale muszę się za siebie wziąć. Sam bym nie dał rady. Pierwszy krok trzeba zrobić samemu – przyznać się przed sobą i przed innymi do tego, że się jest alkoholikiem, ale później potrzebna jest pomoc.

W tym czasie też po raz pierwszy – przypadkiem – w narożniku Rafała Szopy stanął inny zawodnik – Piotr Wypchał. Wsparcie na ringu zamieniło się w wieloletnią już przyjaźń, także sportową – dziś razem zdobywają medale.

Znalezienie pracy dla wychodzącego z nałogu alkoholika nie jest prostym zadaniem. Po wielu niepowodzeniach łatwiejsze okazało się stworzenie wspólnie z żoną własnego klubu.

Kick boxing w walce z nałogami

Rafał Szopa doskonale wie i nieustannie to podkreśla, że samemu trudno wyjść z nałogu. Wie też, jak łatwo się potknąć, dlatego dziś wiele energii i zaangażowania wkłada w pomaganie innym. Prowadzi wykłady dla młodzieży, rozmawia z dorosłymi, inicjatywą „Kick boxing w walce z nałogami" pokazuje młodym ludziom drogę sportową, wolną od używek i innych nałogów.

Dziś Rafał Szopa mówi, że sport to najlepsza terapia. Taką drogę wskazuje też innym w podobnej sytuacji – sport nie zastąpi terapii, ale jest doskonałym jej wsparciem.

– Mam cel, dążenie do niego trzyma mnie w trzeźwości. Dziewięć lat nie piję, ale muszę się cały czas pilnować. Poczucie misji? Wiem, jak ciężko jest z tego wyjść, sam wychodziłem wiele razy, zanim się udało.

Zwłaszcza że nałogi nie dotyczą tylko dorosłych. Alkoholi i narkotyki są obecne w życiu coraz młodszych dzieciaków. Rafał Szopa mówi im o samodyscyplinie, jaką muszą mieć zawodnicy walczący w ringu, ale też o radości i satysfakcji, jaka płynie z treningów i sukcesów. Mówi o sobie – stąd hasło: „z każdego g... da się wyjść".

– Nie trzeba stać na podium na zawodach, ważna jest pasja, coś co sprawia przyjemność. Mówię o tym, że byłem na totalnym dnie, a teraz oni widzą moje medale. Widzą, że da się wyjść.

Marzenia Rafała Szopy? Mistrzostwa Świata Weteranów Kick Boxingu. Będą w przyszłym roku, treningi w drodze po laury już się rozpoczęły.

eprasa.pl 95e9f48b56

LUDZIE

Da się trafić do celu z ponad jednego kilometra? Przemyślanin to potrafi

Karabin oparty na dwójnogu, z tyłu poduszka, przy oku luneta. Tarcza jest daleko, bardzo daleko. Dla laika to tylko niewielki punkt na końcu ogromnego poligonu. Dla Tomasza Jastrząbka to cel, do którego trzeba dopasować wszystko: odległość, wiatr, temperaturę, ustawienie karabinu, pozycję ciała i oddech

Norbert Ziętal

Jeden błąd może sprawić, że pocisk minie cel o kilka, a przy niektórych warunkach nawet kilkanaście centymetrów. Przy dystansie ponad kilometra każdy metr ma znaczenie.

Tomasz Jastrząbek z Przemyśla od kilku lat należy do czołówki zawodników strzelectwa długodystansowego. Startuje między innymi na 300, 600 i 800 metrów, a podejmuje się również strzelania na dystansach przekraczających kilometr. Z ostatnich mistrzostw Europy w Drawsku Pomorskim przywiózł cztery medale: złoty, srebrny i dwa brązowe.

Zaczęło się od wiatrówki

Pierwszy kontakt z bronią miał jeszcze jako dziecko. – U mnie w domu cały czas było strzelanie. Mój tato miał wiatrówkę, jeździł na zawody. Ja już od małego miałem kontakt z bronią i tak zacząłem – wspomina.

Później pojechał na strzelnicę. Musiał pożyczyć karabin, bo jeszcze nie miał swojego. Szybko okazało się, że nawet z cudzej broni potrafi osiągać dobre wyniki. Z czasem kupił własną. Zaczął poznawać sprzęt, ustawienia i wszystkie szczegóły, które w przyszłości miały decydować o wyniku. – Wszystko robiłem sam. Dobór sprzętu, ustawienia karabinu, lunety – mówi.

Na pierwsze poważniejsze zawody pojechał do Skarżyska-Kamiennej. Podczas treningu organizator zauważył, że nowy zawodnik radzi sobie całkiem dobrze. Zaproponował mu start w mistrzostwach Polski. Pan Tomasz nie miał jeszcze dużego doświadczenia, ale spróbował. Efekt? Drugie miejsce. To był dopiero początek. W 2021 roku pojechał na mistrzostwa Europy do Drawska Pomorskiego. Był to jego debiut w tej imprezie. – Pierwszy raz pojechałem na mistrzostwa Europy, a wygrałem cały turniej i przywiozłem złoto. To było coś niesamowitego – wspomina.

Od tamtej pory regularnie pojawia się na najważniejszych zawodach. Na jego koncie jest ponad 30 medali mistrzostw Polski, Europy i dużych zawodów międzynarodowych.

Nie wystarczy wycelować

Z boku strzelectwo długodystansowe może wyglądać jak sport, w którym liczy się przede wszystkim celność. Jednak sam strzał jest dopiero końcem całego, skomplikowanego procesu. Najpierw trzeba znać dokładną odległość, ocenić warunki i odpowiednio ustawić poprawki. Problem w tym, że na dużym poligonie warunki przy stanowisku strzeleckim mogą być zupełnie inne niż kilkaset metrów dalej. Podstawowe konkurencje rozgrywane są na 300, 600 i 800 metrów. Są też dystanse przekraczające kilometr. Podczas tegorocznych zawodów pan Tomasz strzelał na 1057 metrów. – Zawody na strzelnicy i na dużym poligonie to dwie różne konkurencje. Na strzelnicy wszystko można przewiedzieć, a poligon to duży obszar, tam wiatr ma się gdzie rozpędzić – tłumaczy.

Właśnie wiatr jest jednym z największych przeciwników każdego zawodnika. Przy krótkim dystansie jego wpływ można czasem zlekceważyć. Przy 800 czy 1000 metrach nie ma już takiej możliwości. Powietrze pomiędzy strzelcem a tarczą może zachowywać się różnie na kolejnych odcinkach toru lotu pocisku. Zawodnik musi przewidzieć, jak te zmiany wpłyną na strzał. Najpierw trzeba więc zmierzyć rzeczywistą odległość. Nie robi się tego „na oko". Tomasz, podobnie jak inni zawodnicy, korzysta z dalmierza. – Każdy metr jest ważny. Niewielka pomyłka, a kula trafi w zupełnie w inne miejsce – wyjaśnia.

W obliczeniach pomagają kalkulatory balistyczne. Ten sprzęt pozwala szybko przeliczyć potrzebne poprawki, ale nie rozwiązuje wszystkich problemów. Na dużym poligonie pogoda potrafi zmienić się szybciej, niż zawodnik odda kolejne strzały. Dlatego doświadczeni strzelcy obserwują nie tylko urządzenia. Patrzą także na powietrze. Praktyka jest o wiele ważniejsza niż najlepsze urządzenia.

Wiatr widać przez lunetę

Przemyślanin mówi o mirażu. Przez lunetę można zobaczyć charakterystyczny ruch ogrzanego powietrza nad ziemią. Dla początkującego strzelca może być niemal niezauważalny. Dla doświadczonego zawodnika staje się kolejną wskazówką dotyczącą siły i kierunku wiatru. – Jak się zobaczy przez lunetę, to widać, pod jakim kątem wiatr to gorące powietrze przesuwa – tłumaczy.

Z czasem można nauczyć się rozpoznawać różnice. Inaczej wygląda miraż przy słabym wietrze, inaczej przy mocniejszym. Właśnie dlatego w tej dyscyplinie trudno zastąpić doświadczenie samym sprzętem. Można kupić dobry karabin, lunetę, dalmierz i kalkulator balistyczny. Nie można jednak kupić lat spędzonych na obserwowaniu zachowania pocisku w różnych warunkach.

Na stanowisku zawodnik leży. Karabin z przodu oparty jest na dwójnogu, z tyłu na specjalnej poduszce. Pozycja musi być stabilna, ale jednocześnie pozwalać na sprawne przechodzenie pomiędzy kolejnymi dystansami.

W klasie Semi-Auto Open, w której startuje Tomasz, trójbój obejmuje 300, 600 i 800 metrów. Na każdym dystansie trzeba oddać dziesięć strzałów. Na wszystko jest 18 minut.

– Osiemnaście minut jest na trzy dystanse. Na 300 metrów dziesięć strzałów, na 600 metrów dziesięć i na 800 następnych dziesięć. Razem z przeładowaniem, z przeliczeniem, z zobaczeniem tego wiatru, ze wszystkim trzeba się zmieścić w osiemnaście minut – wylicza pan Tomasz.

Podczas zawodów w Drawsku Pomorskim było jeszcze trudniej. Ze względu na fatalne warunki pogodowe czas skrócono do 15 minut. – To był wyścig z czasem – mówi.

W kwadrans trzeba zmienić dystans, obserwować wiatr, przeładować broń, oddać strzały i pilnować wyniku. Nie ma miejsca na długą przerwę. Z drugiej strony pośpiech również może kosztować punkty.

W tej dyscyplinie znaczenie ma także ułożenie ciała. Przemyślanin nie zatrzymuje całkowicie oddechu. Najlepiej strzela mu się na półoddechu, ponieważ przy całkowitym wypuszczeniu powietrza po pewnym czasie zaczyna odczuwać dyskomfort.

Jeszcze jeden szczegół. Policzek musi być stabilnie oparty o kolbę. – Jak się brodą dotyka karabinu czy policzkiem, to musi być oparty. Ja przynajmniej tak robię o kość policzkową. Jeżeli ktoś tego nie zrobi, to widać nawet na lunecie puls – mówi.

Strzelanie długodystansowe to niezwykle precyzyjny sport. Zawodnik leży nieruchomo, a przez lunetę może zobaczyć nawet delikatne drgania wynikające z własnego pulsu. Nie ma tu miejsca na przypadkowe ruchy.

Karabin też trzeba znać

Pan Tomasz używa dwóch karabinów, ponieważ startuje w dwóch klasach sprzętowych. Jeden to amerykański Lancer L30 kalibru 6,5 Creedmoor. Kupił go w 2018 roku i od tego czasu praktycznie niczego w nim nie zmieniał.

Drugi został zbudowany specjalnie według jego założeń, z wybranymi przez niego komponentami. – Długość lufy, skręt, długość lufy. Każdy element dostosowałem pod siebie – opowiada. W klasie Standard używa karabinu o kalibrze 308 Winchester, którego masa wraz z wyposażeniem musi mieścić się w limicie określonym w regulaminie. Ważną częścią wyposażenia są lunety. Pan Tomasz korzysta ze sprzętu firmy Schmidt & Bender, ale wśród zawodników popularne są także inne specjalistyczne marki. Nie ma jednak jednego celownika, który pasowałby każdemu. – Każdy ma inne oko. Musi popatrzeć sobie przez szkło i wybrać najlepsze – mówi.

Czy snajper musi mieć sokole oko? To największy mit, bo okazuje się, że nie. Pan Tomasz ma wadę wzroku, ale odpowiednie ustawienie optyki pozwala mu widzieć obraz wystarczająco wyraźnie. Współczesne lunety umożliwiają dopasowanie dioptrii do konkretnego oka.

W historii wyczynowego sportowca najbardziej zaskakuje być może to, że pan Tomasz nie trenuje regularnie tak często, jak można by się spodziewać. Powód jest prosty. Prowadzenie firmy i codzienne obowiązki sprawiają, że na częste wyjazdy na strzelnicę zwyczajnie brakuje mu czasu. Kilka lat temu trenował więcej. Wtedy przekonał się również, że przesada może przynieść odwrotny skutek. – Kilka lat temu miałem tak po prostu, że trenowałem i się przetrenowałem. To jest dla mnie gorsze niż nietrenowanie – mówi.

Tegoroczne mistrzostwa Europy przyniosły jeszcze jedną historię. Tuż przed zawodami zepsuł mu się karabin. Udało się go naprawić, ale Tomasz nie zdążył już oddać ani jednego strzału. Na zawody pojechał bez treningu, bez „rozstrzelania". Wrócił z... czterema medalami. Nie oznacza to, że trening jest w tym sporcie niepotrzebny. Tomasz uważa jednak, że oprócz pracy i doświadczenia potrzebne są również określone predyspozycje. – Można powiedzieć, że wytrenować można do pewnego stopnia. Ale później to już jednak trzeba mieć tak, że to się mówi: albo się ma to coś, albo nie ma – twierdzi.



FOT. ARCHIWUM

Sam strzał jest końcem skomplikowanego procesu przygotowań

Mundurowi i pasjonaci

Na zawodach spotykają się przedstawiciele różnych środowisk. Jest sporo policjantów i żołnierzy, ale są również cywile, sportowcy i osoby, które po prostu znalazły w strzelectwie swoją pasję. Pan Tomasz przyznaje, że bez niej trudno byłoby osiągać dobre wyniki. Ten sport wymaga ciągłego szukania odpowiedzi na pytanie, dlaczego jeden strzał był lepszy od drugiego i co sprawiło, że pocisk znalazł się akurat w tym miejscu tarczy. – Kto ma pasję, po prostu bardziej się tym interesuje, bardziej docieka. I przez to podwyższa swoje umiejętności – mówi.

Sam nie jeździ na wszystkie możliwe zawody. Wybiera przede wszystkim najważniejsze – mistrzostwa Polski, Europy oraz duże imprezy międzynarodowe. Jego dorobek to już ponad 30 medali.

Strzelectwo w Polsce w ostatnich latach wyraźnie zyskało na popularności. Dane Polskiego Związku Strzelectwa Sportowego pokazują wzrost liczby licencjonowanych zawodników i klubów, a coraz więcej osób pojawia się również na strzelnicach.

Pan Tomasz zauważył tę zmianę także w swoim najbliższym otoczeniu. Jak mówi, przed rosyjską agresją na Ukrainę zdarzali się znajomi, którzy pytali go, po co właściwie posiada broń i dlaczego interesuje się strzelectwem. Po wybuchu wojny pytania często były już inne. – Odkąd wybuchła wojna, to już zaczęli do mnie dzwonić, jak wyrobić sobie pozwolenie, co to trzeba zrobić – opowiada.

Jego zdaniem większe zainteresowanie bronią powinno oznaczać również większą wiedzę na temat bezpieczeństwa. – Broń to nie jest zabawka. To jest narzędzie od początku wymyślone do zabijania. Nie ma się co oszukiwać – podkreśla.

©℗

eprasa.pl 95e9f48b56

HISTORIA

Ostatnie miasto skutecznie założone przez Krzyżaków w Prusach

Przedmiotem, o którym w Sztumie mówi się bardzo dużo w ostatnich dniach, jest pergamin z 1416 roku, urzędowy dokument krzyżacki, od którego miasto wzięło swój początek. Co ciekawe, było ono ostatnim miastem skutecznie założonym przez państwo zakonne w Prusach. Oryginał z pieczęcią wielkiego mistrza Michaela Kuchmaistera wrócił do miejsca, którego dotyczy

Radosław Konczyński

„My, brat Michael Kuchmeister, wielki mistrz Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie, oznajmiamy wszystkim obecnym i przyszłym, że po rozważnej radzie z naszymi dostojnikami postanowiliśmy założyć przy naszym zamku w Sztumie, na otoczonym murami przedzamczu, nowe miasto. (...) Nowemu miastu nadajemy prawo chełmińskie, aby jego mieszkańcy mogli żyć według sprawiedliwego prawa i rozwijać handel, rzemiosło i wspólnotę. Obdarzamy mieszczan sześćdziesięcioma pięcioma łanami ziemi oraz lasami, łąkami, pastwiskami i wodami. Każdy mieszkaniec otrzyma ogród, a miasto będzie mogło korzystać z otaczających je lasów dla własnego dobra. Mieszkańcy posiadać będą baszty miejskie i strzec będą murów, bram i mostów, a wspólnym wysiłkiem dbać o bezpieczeństwo miasta oraz drogi prowadzące do nadbrzeża" – głosi dokument przygotowany w kancelarii wielkiego mistrza.

Został wystawiony 23 września 1416 roku. Państwo zakonu krzyżackiego w Prusach, dotychczasowa nadbałtycka potęga, wtedy już zaczynało drżeć w posadach po przegranej bitwie pod Grunwaldem. Przetrwało jeszcze do 1466 r., przegranej wojny trzynastoletniej z Rzeczpospolitą. Michael Küchmeister von Sternberg wielkim mistrzem był w latach 1414-1422. Sztum to jedyne miasto, które za jego rządów otrzymało prawa miejskie.

- Sztum jest ostatnią udaną lokacją w Prusach w czasach krzyżackich. Były potem jeszcze lokacje Ełku i Pisza, ale nieudane - mówił dr hab. Roman Czaja, profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, podczas promocji książki „Miasto Sztum i jego przywilej lokacyjny z 1416 roku" pod redakcją dr. hab. Radosława Biskupa z UMK, wydanej z okazji 610-lecia miasta.

Najpierw duże miasta

Początki Sztumu jako gminy miejskiej (bo zamek już istniał, budowany etapami w latach ok. 1377-1420), są w sumie dość odległym następstwem zmian, które dokonały się na tych terenach w ciągu ponad dwustu lat obecności Krzyżaków. Najprościej rzecz ujmując, zakon, który podbił Prusy w XIII wieku, potrzebował poddanych. Samych braci zarządzających państwem była garstka. Krzyżacy czerpali z już dostępnych wzorców.

- W XI-XII wieku na zachodzie Europy dokonuje się rewolucja komunalna, miejska. Jej efektem jest poczucie wspólnoty, identyfikacja nie jednej osoby, ale wielu osób z pewnym miejscem. Wtedy powstaje miasto rozumiane jako gmina, jako podmiot polityczny, który ma własne prawa. Oczywiście, miasta istnieją tak długo, jak istnieje cywilizacja, ale gmina miejska, obywatelstwo miejskie powstaje właśnie w XI-XII wieku na południu i zachodzie Europy. Ten fenomen rodzi się w konsekwencji sukcesu, niezwykłego boomu demograficznego, jaki Europa w tamtym czasie przeżywa. I Europa potrzebuje miejsc do handlu detalicznego, nie tylko miejsc jarmarków, wielkich targów, w których handlowano towarami luksusowymi. Potrzebuje również miejsc produkcji, miejsc usług dla rosnącej liczby mieszkańców - wyjaśnia Roman Czaja.

W tworzącym się w XIII wieku państwie zakonu krzyżackiego w Prusach powstały najpierw największe miasta.

- Zakon budował swoje władztwo terytorialne, więc potrzebował wsparcia demograficznego, majątkowego. Lokacja miasta to przedsięwzięcie zarówno prawne, związane z nadaniem określonego prawa, jak i przedsięwzięcie społeczne. Ściągnięcie mieszkańców i ten wzorzec działania wykształca się stopniowo przy okazji zakładania pierwszych miast - Torunia, Chełmna, Elbląga. W 1232 roku zakon wystawił przywilej dla Torunia i dla Chełmna, zawarł w nim zapis, że mieszkańcy mają się cieszyć prawem, które obowiązuje w Magdeburgu. W ówczesnej Europie bardzo długo stosowano nawiązywanie do wzorów istniejących gdzie indziej, z reguły na terenie Rzeszy Niemieckiej, jeżeli chodzi o ziemie polskie. Ale ten wzorzec transferu istniał w całej Europie. Wzory francuskie stosowano w Hiszpanii, wzory angielskie - w Irlandii jako formę eks-



FOT. MUZEUM ZAMKOWE W MALBORKU

Oryginalny dokument z 1416 r. na co dzień jest przechowywany w Archiwum Państwowym w Gdańsku

pansji owego centrum europejskiego na obrzeża. Przywilej chełmiński już w bardzo istotnych kwestiach modyfikuje wzorce prawne, które istniały w Magdeburgu. Zatem wykształcenie się krajobrazu miejskiego w Prusach to także modyfikacja, dostosowywanie pewnych wzorów do lokalnych potrzeb, docieramy więc do specyfiki pojęcia miast pruskich jako odrębnej formy prawa miejskiego – wyjaśnia Roman Czaja.

Na początek dostali 50 parceli

Po całkowitym podbiciu plemienon pruskich ok. 1280 roku rozpoczęła się akcja kolonizacji.

- Wówczas powstaje masa mniejszych miast. Duże miasta dostarczają wzorca prawnego i wzorca przestrzennego mniejszym, które były zakładane jako miejsca lokalnego targu i ów targ miał mieć wymiar europejski, ponieważ lokacja nie tylko Prus, całej Europy Środkowo-Wschodniej wpisana była w jedną podstawową myśl ekonomiczną: Europa potrzebuje zboża. I żeby to zboże z terenów wiejskich przetransportować do miast, nie tylko w najbliższej okolicy, ale w handlu ponadregionalnym, międzynarodowym - potrzebne były rynki. Zaczynając od tych miasteczek najmniejszych, poprzez duże rynki handlu międzynarodowego, jak Toruń, Gdańsk, Królewiec, Lubeka i tak dalej. Druga podstawa egzystencji miast małych, takich właśnie podobnych Sztumowi, to tereny wiejskie. Wszystkie miasta pruskie otrzymywały znaczące ziemie. Małe miasta dobrze ponad sto hektarów, duże - ponad tysiąc hektarów. Miało to swoje bardzo określone konsekwencje społeczne. Mieszczanin był jednocześnie rolnikiem, co dzisiaj wydaje się nam nie do pogodzenia. Do każdej parceli przypisane było pole, łąka, ogród. Na każdej działce znajdowała się stodoła, stajnia, obora. I bardzo często w tych małych miastach żyło więcej krów, koni, trzody niż obywateli. Taka była ich specyfika, a więc funkcje rolnicze, handlowe i oczywiście rzemieślnicze - tłumaczy Roman Czaja.

Mieszczanin był jednocześnie rolnikiem. Do każdej parceli przypisane było pole, łąka, ogród. Na każdej działce znajdowała się stodoła, stajnia, obora.

ROMAN CZAJA
historyk z UMK w Toruniu

W akcie lokacyjnym Sztumu spisanym po niemiecku wielki mistrz wytyczył 50 działek osadniczych. Gmina dostała też patrymonium miejskie o powierzchni 65 łanów (55 łanów pól oraz 10 łanów lasów). Odbiorcą przywileju został Ambroży von Schönberg, syn Gerharda, który objął urząd sołecki wraz z władzą sądowniczą i przynależnymi urzędowi sołtysa przywilejami.

Każdy mieszkaniec Sztumu wraz ze swoją parcelą otrzymał pół morga wolnej i dziedzicznej ziemi na przedmieściu z przeznaczeniem na ogród, a prócz tego możliwość korzystania z położonego w lesie Jeziora Białego. Oczywiście były i obowiązki. Dochody czynszowe z ław piekarniczych, jatek mięsnych, ław szewskich, straganów, kramów, postrzygalni, ram tkackich i łaźni miały w połowie należeć do pana miasta, w połowie do miasta. Mieszczanie mieli ponadto utrzymywać w dobrym stanie technicznym most na drodze prowadzącej do Malborka, jak również pozostałe mosty znajdujące się na terenie patrymonium miejskiego. Mieli także pełnić wachtę oraz zamykać i utrzymywać bramę przy słodowni, między zamkiem a miastem.

To wszystko i jeszcze więcej zapisane jest w oryginalnym, 610-letnim dokumencie, przechowywanym w Archiwum Państwowym w Gdańsku co najmniej od lat 50. ubiegłego wieku. Tym razem akt lokacyjny można oglądać do 20 października w sztumskim zamku. Potem wróci do AP w Gdańsku, a na wystawie zastąpi go replika.

Oryginalny dokument nie pierwszy raz gości w Sztumie, o czym przypomina burmistrz Bartosz Mazerski.

- We wrześniu 1993 roku z Archiwum Państwowego w Gdańsku wyruszył konwój w asyście strażników miejskich. W Sztumie dokumenty archiwalne zdeponowano w ówczesnym oddziale Powszechnej Kasy Oszczędności Banku Polskiego. Następnego dnia wyeksponowano w holu placówki pergamin z przywieszoną woskową pieczęcią. Można go było oglądać przez pancerną szybę – przypomina Bartosz Mazerski.

Ostatnie zdania zapisane w akcie, podyktowane przez wielkiego mistrza, brzmią jak wciąż aktualne życzenia z przeszłości: „Niech więc miasto rozwija się w pokoju, pomnaża swoje bogactwo, służy kupcom, rzemieślnikom i wszystkim ludziom dobrej woli, a jego mieszkańcy korzystają z nadanych im praw ku pożytkowi własnemu i całej tej ziemi. Na wieczną pamiątkę i dla większego bezpieczeństwa poleciliśmy zawiesić na tym dokumencie naszą pieczęć".

eprasa.pl 95e9f48b56

GWIAZDA TYGODNIA

Igor Herbut: Mam miłość, szczęście i spokój. Jestem w dobrym miejscu

„Żeremie" to tytuł nowej solowej płyty frontmana zespołu LemON. Znalazła się niej bardzo emocjonalna muzyka z poetyckimi tekstami. Przy okazji tej premiery Igor Herbut opowiada nam o wyjątkowej relacji ze swoim synem Kaiem

Paweł Gzyl

Sześć lat temu wydałeś swój pierwszy autorski album „Chrust". Mimo że stało się to na początku pandemii, odniósł on spory sukces. Zachęciło cię to kontynuowania solowej działalności?

Oczywiście. Ale nie tylko to. Ważne było też to, że zapoczątkowałem tym samym odrębną odnogę swych muzycznych poszukiwań – bardzo moją i w pełni autorską. To był pierwszy bardzo ważny krok na tej drodze. Trudny, bo wydarzył się w czasie pandemii. Nie spodziewając się tego, wydałem bardzo dużo marketingowego budżetu na outdoor. Było to najgorsza decyzja, jaką mogłem podjąć, bo plakaty te widział chyba tylko ten patrol, który jeździł po ulicach miasta. (śmiech) Sytuacja była jednak równoważnie piękna, ponieważ okazało się, że ta płyta jest ludziom potrzebna. W ciągu kolejnych sześciu lat wydarzyło się w moim życiu wiele kolejnych solowych historii, choćby ostatnio „Męskie Granie". Miały one trochę inny kolor, ale doprowadziły mnie teraz do wydania drugiej płyty – „Żeremie". Wracam więc z utworami, które są bardzo moje. Ponownie zamieniłem się w Zosię Samosię i jestem bardzo dumny z tego, że album ten nie jest gorszy od „Chrustu".

Kiedy zacząłeś pracować nad piosenkami na „Żeremie"?

Tak naprawdę utwory te powstawały przez ostatnie sześć lat. Jeden z nich nawet wcześniej – dwa lata przed „Chrustem". Wydawał mi się jednak nie w kolorze tamtej płyty, więc schowałem go szuflady. Teraz opowiadana w nim historia nabrała nowego sensu, postanowiłem więc go wykorzystać.

Sam skomponowałeś, napisałeś i zagrałeś cały materiał na „Żeremie". Co sprawiło, że zdecydowałeś się na taką pełną samodzielność?

To nie do końca była pełna samodzielność. W powstaniu płyty wzięli udział wspaniali muzycy, którzy bardzo mi ufają i dają dużo od siebie. Dwie piosenki napisaliśmy wspólnie z braćmi Tomkiem Świerkiem i Przemkiem Świerkiem z LemONa. Chciałem bowiem, aby ten „Chrust" nie był zbierany samodzielnie i żeby zbudować te „Żeremie" z kimś mi bliskim. Lekko otworzyłem się więc na innych, na pewno bardziej niż na pierwszej płycie. Wszystko jednak ostatecznie przepuściłem przez siebie i wymyśliłem sam. Na „Chruście" chciałem sobie coś udowodnić, a na „Żeremiach" już nie musiałem, bo znam już teraz swoją wartość. Tutaj przede wszystkim chciałem utrzymać poziom, żeby nie był gorszy niż na debiucie – muzyki i tekstów, brzmienia i szczerości. W efekcie powstał materiał, który nie waham się nazwać jednym z najlepiej brzmiących w tym kraju. Mogę tak powiedzieć obiektywnie bez fałszywej skromności.

Większa część płyty ma intymny ton. Momentami wręcz szepczesz do ucha słuchacza. Co cię pociąga w formule takiego lirycznego zwierzenia?

To prawda: taka intymność bardzo mnie pociąga. Uwielbiam pokazywać szczerość w ten sposób. To tak naprawdę jestem ja. To osobisty, intymny i nawet lekko wsobny materiał. Ale jak się okazuje, ten mój pokój, w którym piszę i śpiewam te teksty, robi się coraz szerszy i mogę zaprosić doń coraz więcej pięknych serc i świadomych ludzi, którzy chcą doświadczać tego, co ja, poczuć to i zrozumieć. Bo okazuje się, że są to też ich historie, oczywiście zinterpretowane po mojemu, ale pokazujące, że nie tylko ja tak mam. Na szczęście coraz lepiej umiem o tym pisać i opowiadać w muzyce i w tekstach. A to dzięki temu, że coraz łatwiej przychodzi mi mówienie o emocjach, co jest oczywiście znacznie trudniejsze niż napisanie piosenki. Te momenty dają mi poczucie, że nie jest sam w tym, co przeżywam i doświadczam. Dlatego czasami potrzebuję się zwierzyć i poczuć wspólnotę. I to jest ekstra.

Gdzie stawiasz sobie granice tej szczerości wobec słuchaczy?

Na pewno gdzieś je sobie stawiam. Nie myślę jednak o tym tak technicznie. To trudne i łatwe zarazem. To są moje historie, ale kiedy ktoś pyta, czy dany tekst opowiada o mnie, mogę zawsze powiedzieć, że to licentia poetica. (śmiech) To taki zawór bezpieczeństwa. W końcu to muzyka pop i piosenki, w których stosuje się narrację w pierwszej osobie. Na pewno staram się wpuszczać ludzi tylko tam, gdzie nie będę się potem wkurzał, że ten dywanik jest brudny.

Nad częścią tych piosenek unosi się duch Marka Grechuty – choćby w walczyku „Ogród". To zasługa twojego projektu Grechuta Herbuta?

Bardzo ciekawe spostrzeżenie. Być może masz rację. To był wspaniały projekt i cudowna inspiracja. Podczas koncertu w Krakowie na widowni była z nami pani Danuta Grechuta – i to było bardzo wzruszające i ważne spotkanie dla mnie. Dostałem bowiem od niej oficjalne „błogosławieństwo" dla moich wersji piosenek jej męża. Cieszę się, że to się wydarzyło i jest to bardzo budujące. W przypadku „Żeremi" te nawiązania do Marka Grechuty nie są intencjonalne, ale niewykluczone, że pojawiały się w niektórych utworach. Ja uwielbiam pisać i śpiewać poezję i staram się to robić dobrze. Dla jednych to może być grafomania, a dla drugich – właśnie poezja. Prawda leży pewnie gdzieś pośrodku. (śmiech)

Jest na płycie również miejsce na bardziej rockowe brzmienia – choćby w „Ocknij się" i „Tak ma być". Z czego to wynika?

To po prostu jestem ja. Raz jestem liryczny, a raz są tu „trzy akordy, darcie mordy", no, może trochę więcej niż trzy akordy. (śmiech) I to jest super. Refren w „Tak ma być" jest chyba najtrudniejszy technicznie z wszystkich, jakie napisałem w życiu. Tam jest tak naprawdę wszystko: falset, trochę gardła, trochę przepony, do tego przechodzi to płynnie w siebie i jak zawsze bardzo ważna jest intonacja. Bardzo się cieszę, że tak udało się to połączyć. Bo lubię ten pazur, jest to mocno emocjonalne i układa się w dobrą opowieść. Jestem więc bardzo dumny z tego utworu i z całej tej płyty.

Nie ma tu oczywistych nawiązań do folku, jak u LemONa, ale w twym głosie jest ciągle ta łemkowska rzewność. To twój znak rozpoznawczy?

Jestem Łemkiem, ale ostatnio mało piszę w języku łemkowskim. To jest trochę do zmiany. Wydaje mi się, że w „Helsinkach" jest trochę taka harmonia wokalna, bliska łemkowskim śpiewom. Ale ten wielogłos jest stworzony wyłącznie z mojego głosu. Dla słuchaczy, którzy tęsknią za takimi nawiązaniami w mojej twórczości, jest to więc lekkie puszczenie oczka.

Jak wspomniałeś, twoje teksty mają bardzo poetycki charakter. Jak nadajesz im taki kunsztowny sznyt?

W przypadku „Żeremi" wyglądało to tak jak u poety: siadałem sam pod drzewem z notatnikiem i pisałem kolejne wiersze. Czasem było to tylko zdań połączonych ze sobą w jedną całość. Chciałem w ten sposób sprawdzić, czy potrafię posługiwać się taką formą wyrazu. Do tego potem dochodziła muzyka, którą zazwyczaj pisałem wcześniej. Szukałem sytuacji, w której melodia zgadza się z wierszem. Trochę potem to redagowałem i rejestrowałem na dyktafonie – dla samego siebie, żeby wyczuć, czy to ma sens. Teraz postanowiłem, że zamieszczę te pierwsze wersje na specjalnej płycie „Darń", która zostanie dołączona do części nakładu „Żeremi". W ten sposób słuchacz będzie mógł wejść w ten moment, w którym powstaje dana piosenka. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej intymnego. Tam są różne moje komentarze, obsuwy, niestudyjne sytuacje. Sam boję się tego odsłuchać i prawdę powiedziawszy nie wiem, co tam dokładnie jest nagrane. (śmiech)

Jak powszechnie wiadomo, bobry budują „Żeremie" z „Chrustu". Co sprawiło, że postanowiłeś nawiązać w ten sposób do swej pierwszej solowej płyty?

To jest pewna kontynuacja. „Chrust" był potrzebny do zbudowania „Żeremia". Gwoli wyjaśnienia: bobry budują swój dom, składając go z chrustu, gałęzi, mułu, czyli pozornie błahych i lichych materiałów. W ten sposób powstaje konstrukcja na wodzie, która jest w środku sucha. Bobry nie do końca mają wpływ na jej poziom, więc muszą o to żeremie codziennie dbać. W finale płyty pojawia się światło – i nie wiadomo, czy ten dom jest naprawdę bezpiecznym lub ostatecznym miejscem. Znalazłem tę metaforę żeremia przypadkowo, ale jakoś tak idealnie trafiła w moją sytuację życiową. „To jest o mnie, o tym, o czym piszę, to niewiarygodnie siedzi we mnie" – pomyślałem. Dlatego postanowiłem ją wykorzystać.

W symboliczny sposób piosenki te opowiadają o budowaniu bezpiecznej przystani. To założenie rodziny zainspirowało cię do takiej opowieści?

Wydaje mi się, że w jakiś sposób tak. Cały czas uczę się tego i zobaczymy, co będzie dalej. Bo nie wiadomo do końca, co stanie się z tym żeremiem – czy będzie spokojnie funkcjonować, czy ulegnie zniszczeniu i trzeba je będzie zbudować na nowo, tym razem może jakoś inaczej. To wszystko jest zawarte na tej płycie.

Z twoich piosenek wynika, że podstawowym budulcem tych żeremi jest miłość.

Miłość albo jej brak. Bo kiedy jej brakuje, szukamy jej w sobie, zadajemy sobie pytanie, gdzie ona jest. Czy jest do odnalezienia? Czy jest może przykryta czymś i dlatego jej nie widzimy? Miłość jest na pewno azymutem. Jej obecność lub jej brak stwarza to, kim jesteśmy i jakie zadajemy sobie pytania. A kiedy zadajemy pytania, to pojawiają się odpowiedzi. Tylko trzeba je szczerze najpierw sobie zadać.

W popkulturze miłość jest rozumiana bardzo powierz-

eprasa.pl 95e9f48b56

chownie – raczej jako chwilowe zauroczenie. Jak ty ją rozumiesz?

To bardzo filozoficzne pytanie. (śmiech) Ja przede wszystkim staram się doświadczać miłości. Znam więc sytuacje, kiedy ona jest, i znam sytuacje, kiedy jej brak. Znam też jej różne rodzaje. Trudno mi o tym mówić, dlatego o tym piszę. I ta płyta o tym opowiada: że miłość była, jest i będzie. Teraz doświadczam jej jednak inaczej i ciekawiej. Jestem bardzo otwarty na miłość i spokojny, że nadejdzie.

Swojemu synowi dałeś na imię Kai, co tłumaczysz jako „Ocean Miłości". To on jest twoją największą miłością?

Absolutnie! To moja największa miłość, która mnie inspiruje każdego dnia. Kai ma już siedem lat, staram się więc być bardzo obecny w jego życiu, wspierający i słuchający. Myślę, że jestem wyrozumiałym tatą. Staram się bardzo nic nie zepsuć w naszej relacji. Dziecko jest „czystą kartką", dlatego bardzo uważam, co na niej zapisuję. Kai jest czystą miłością, od której można się tylko uczyć, więc najlepiej w tym nie przeszkadzać, a tylko pomagać.

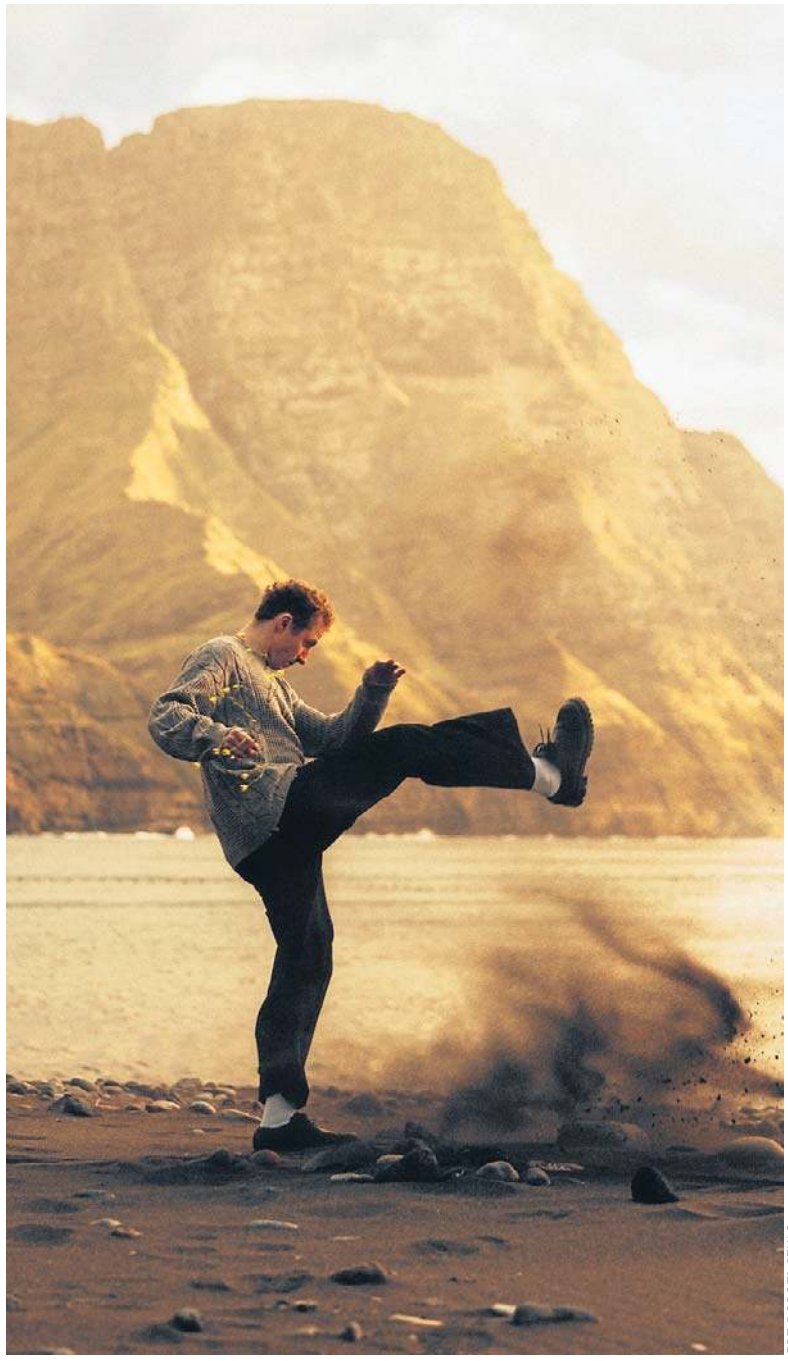
W „Żółwiu" podkreślasz, że do zbudowania tej bezpiecznej przystani potrzebna jest też wytrwałość i cierpliwość. Masz takie cechy charakteru?

Coraz więcej. Uczę się nie gonić za falą, ale pozwolić się jej ponieść. Wychodzę spod kamienia, pod którym siedziałem, i otwieram się bardziej na okazywanie emocji. Dzięki temu jestem spokojniejszy, bez lęku, otoczony miłością i szczęściem. Wszystko dzieje się powoli, w swoim tempie.

To budowanie tych symbolicznych „Żeremi" nie jest proste ani łatwe. Jakie napotkałeś na tej drodze trudności?

Całe mnóstwo. (śmiech) Można by mówić i mówić. Na pewno nie chciałbym jednak niczego zmieniać z tego, co się wydarzyło. Wszystko to było potrzebne, abym znalazł się w tym miejscu, w którym obecnie jestem. Mam tu na myśli dobre i złe rzeczy. Każdy błąd, problem, trudność – wszystko przyniosło mnie tu, gdzie teraz jestem. Gdyby to się nie wydarzyło, to bałbym się, że stracę to, co mam. A mam naprawdę miłość, szczęście i spokój. Jestem w dobrym miejscu.

Gwiazdy popu często są w trasie, w telewizji czy w studiu. To nie utrudnia zbudowania domu?



FOT. DOROTA SZULC

Igor Herbut: Każdy błąd, problem, trudność – wszystko przyniosło mnie tu, gdzie teraz jestem. Gdyby to się nie wydarzyło, to bałbym się, że stracę to, co mam

Faktycznie często wyjeżdżam, ale ma to całkiem pozytywny wpływ na mojego syna. Nie chodzi mi to o to, że mnie nie ma w domu, tylko o to, że on widzi, że tata pracuje. Ostatnio napisaliśmy na „Męskie Granie" utwór „Nareszcie" i stał się on jedynką w polskim airplayu. Kai był na wakacjach i nagle usłyszał w radiu tę piosenkę, że to jego tata śpiewa. Bardzo go to ucieszyło. Jego koleżanka czy kolega znają ten utwór i on może im powiedzieć: „To śpiewa mój tata". Kiedy się o tym dowiedziałem, pomyślałem sobie, że czasem jego radość jest warta tych moich wyjazdów.

Zabierasz czasem syna na koncerty?

Ostatnio był na finale „Męskiego Grania". Widział więc te tłumy, słyszał, jak śpiewamy. Ale największe wrażenie zrobiły na nim wizualizacje nad sceną i latające drony. (śmiech)

Gwiazdy popu mają często rozbuchane ego. To nie ułatwia budowania stabilnej i bezpiecznej rodziny. Jak ty sobie z tym poradziłeś?

Czy ja mam rozbuchane ego? Nie wiem. Jakby miało mi odwalić, to chyba już by mi odwaliło. (śmiech) Każdy ma swoje plusy i minusy, każdy ma swoje jasne i ciemne strony, nie tylko gwiazdy popu. Ja staram się dzisiaj przede wszystkim być bardzo szczery i walczyć z pewnymi sprawami. Jestem po raz pierwszy na tym świecie. Tak samo mój syn. Po raz pierwszy jestem ojcem, a on synem. Uczymy się obaj na własnych błędach. Nie można się więc katować, że coś mi się nie udaje czy w czymś nawalam. Po prostu trzeba robić wszystko najlepiej, jak się potrafi. I będzie dobrze.

Tworząc własną rodzinę i budując swój dom, w naturalny sposób odwołujemy się do tego domu, z którego wyszliśmy. Śpiewasz o nim w „Wagonikach".

Wspominam w tym utworze moją mamę, która, kiedy byłem mały, robiła mi kanapki pokrojone w kwadraciki, a ja nazywałem je „wagonikami".

Moja mam też mi takie robiła. Tylko ja mówiłem, że są to „kąski".

(śmiech) A to fajne i wcale nie takie oczywiste, bo pytam ludzi wokół o to i nie słyszałem jeszcze, żeby u kogoś też tak było. A te „wagoniki" smakowały jak nic innego. Byłem niedawno w moim rodzinnym Przemkowie i chcę tam nakręcić klip do tej piosenki.

Twój rodzinny dom jest dla ciebie wzorem do budowania twojego własnego domu?

Jeśli weźmiemy wszystkie dobre i niedobre rzeczy, które się w nim działy – to absolutnie tak. Na pewno stanowi pewien azymut, który wyznacza mi, czego chcę i czego nie chcę, budując własny dom. Tak to już jest. Ja dosyć szybko opuściłem rodzinny dom: wyjechałem do internatu i tak naprawdę już nigdy tam nie wróciłem do końca. Tak się wydarzyło, bo chciałem się szybko usamodzielnić i poszukać siebie. Lubiłem być sam ze sobą i do dzisiaj mi to zostało.

Być może ta twoja silna potrzeba zakorzenienia i bezpieczeństwa wynika z historii twej rodziny i całej łemkowskiej społeczności?

Bardzo lubię tę łemkowską tradycję. To bardzo inspirujące i piękne. Czasem tęsknię za chodzeniem z namiotem na plecach po górach. Może jeszcze kiedyś to się wydarzy? Teraz już jednak tego nie mam. Mam nadzieję, że pojedziemy z LemONem do Przemkowa i będziemy tam szukać inspiracji do nowej płyty.

Często odwiedzasz rodzinny dom?

Bardzo rzadko. I myślę, że trzeba to zmienić.

Twój syn wychowuje się w Warszawie. Starasz mu się w jakiś sposób przekazać łemkowskie tradycje?

Czasami mu coś śpiewam po łemkowsku, robię to więc w ten sposób.

Płyta z utworu na utwór zmierza w stronę światła. Kiedyś powiedziałeś po urodzeniu syna: „Idę w stronę wyjścia z tunelu – tego dobrego światła, które grzeje moją buźkę". Czym jest dla ciebie to światło?

Odkryciem miłości i szczerości. Pójściem w życie bez lęku. W tym moim żeremiu pojawia się światło i jestem ciekaw, czy jest to droga, którą powinienem pójść. Czy raczej oznacza, że mam już jasno i nie muszę inwestować w żyrandol. (śmiech)

A w sensie metafizycznym? Wychowałeś się na styku prawosławia i katolicyzmu. W jakiej duchowości dzisiaj się odnajdujesz?

W bardzo osobistej i w oddechu. Wiem, że to dziwnie brzmi, ale staram się zrozumieć siebie, swojego ducha, swój oddech i swoje myśli. Wsłuchuję się więc w swoje ciało i umysł. To dla mnie coś nowego i ciekawego. Zacząłem bowiem praktykować jogę.

Traktujesz ją jako ćwiczenia fizyczne czy coś więcej?

To właśnie nie jest tylko ćwiczenie fizyczne. Joga wiele rzeczy układa i mówi o intencji. To coś bardzo osobistego i nowego dla mnie, ciekaw więc jestem, co przyniesie. Staram się rozpoznawać swoje uczucia i mówić o nich głośno. Teraz tych emocji, z którymi wcześniej człowiek nie miał do czynienia, jest coraz więcej. Może na starość się tak dzieje? Nie wiem. Tak czy siak staram się zbudować coś szczerego i dobrego.

Na koniec zejdźmy na ziemię: w październiku wyruszasz z zespołem w trasę promującą „Żeremie". Wykonasz wszystkie utwory z płyty?

Na pewno. Zagramy całą płytę. Jesteśmy jeszcze przed próbami, więc nie wiem, jak to zabrzmi, ale jestem pewien, że to będą bardzo piękne spotkania.

Zagracie też coś z twojej pierwszej płyty?

Może? Zobaczymy.

Będą to koncerty w wielkich i eleganckich salach, jak ICE Kraków. Uda ci się zachować intymny ton tych piosenek w takich dużych przestrzeniach?

Bez problemu. Przecież grałem w ICE Kraków solo – tylko ja i fortepian, umiem więc stworzyć intymny klimat w takich salach, tym bardziej że teraz będę z zespołem. O to się więc akurat nie martwię.

Fani by mi nie wybaczyli, gdybym nie spytał na koniec: co z LemONem?

LemON ma się dobrze. Cały czas poszukuje i robi nowe piosenki. Za rok piętnastolecie zespołu, więc będziemy szykować coś specjalnego.

eprasa.pl 95e9f48b56

HISTORIA

Citroën 2CV pędzi przez francuskie winnice

6 października 1948 roku na Międzynarodowym Salonie Samochodowym w Paryżu zaprezentowano Citroëna 2CV – „najbrzydsze auto świata". Teraz Francuzi przymierzają się do powtórki z tamtej epoki

Mariusz Grabowski

Być może faktycznie Citroëny nie były piękne, ale za to tanie w utrzymaniu i maksymalnie uproszczone konstrukcyjnie. Przed cztery dekady sprzedano ich 5 mln i to one zmotoryzowały Francję. W tym sensie zasługują na bliższą uwagę.



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

2CV był samochodem wszechstronnym, ale jednak trudno uwierzyć, że trafił nawet do wojska

Auto podobne do kaczki

Spójrzmy na Citroëna C5 Aircross, najnowsze dziecko firmy – kompaktowego SUV-a i przykład motoryzacyjnego wyrafinowania. Ma nie tylko hybrydowy napęd, niezliczone systemy bezpieczeństwa i układy wspomagające prowadzenie, ale również inne bajery, jak choćby interfejs komunikacyjny najnowszej generacji.

Nasz Citroën 2CV miał na początku karoserię z perforowanej blachy, płócienny dach, amperomierz, silnik o mocy 9 koni i w porywach mógł rozpędzić się do nieco ponad 60 km na godz. Był tak prosty w naprawie, że – jak mówiono – nawet dziecko mogło jej dokonać, byle miało młotek i śrubokręt. Z luksusów: auto wyposażono w elektryczne wycieraczki.

Konstrukcyjnie 2CV był bowiem samochodem przedwojennym. W połowie lat 30. zaprojektował je inż. André Lefèbvre i do czerwca 1940 r. zbudowano 250 prototypowych sztuk. W 1948 r. pokazano więc lekko zmodyfikowany model, ale za to z zadęciem.

Samochód dla mas

Do Citroëna przylgnęła nazwa „Toute Petite Voiture" („bardzo mały samochód"), która nie do końca oddaje jego zalety. Ze względu na swoje cechy auta bardzo wszechstronnego, ekonomicznego w zużyciu i o niskich kosztach 2CV był bowiem samochodem dla każdego – zarówno w mieście, jak i na wsi.

Citroëna przerabiano na najróżniejsze wersje: „Kaczka" była autem policyjnym, taksówką, karetką i dostawczakiem. W najróżniejszych kształtach i kombinacjach. Istniał kabriolet 2CV (model Méhari z 1968 roku), a wersja „Fourgonnette" była często np. używana przez francuską służbę drogową lub jako pojazd pocztowy w Belgii. Z czasem 2CV wywarł piętno na wzornictwie motoryzacyjnym i kształtowaniu gustów konsumentów.

Do tego dochodziła atrakcyjna cena: w momencie premiery w 1948 roku auto kosztowało 180 tysięcy ówczesnych franków. Biorąc pod uwagę denominację z 1960 r. i inflację, była to równowartość ok. 5-6 tys. euro.

W armijnym kamuflażu

2CV był wszechstronny, ale jednak trudno uwierzyć, że trafił nawet do wojska. Model Ghan-1 był pojazdem stworzonym specjalnie na potrzeby piechoty morskiej, z możliwością mocowania kilku rodzajów uzbrojenia. Waga umożliwiała łatwe transportowanie go drogą lotniczą, za pomocą śmigłowców, na pole walki.

W latach 50. Ghan-1 trafił na front wietnamski – widać go na wielu fotografiach. Jeździł też w patrolach po bezdrożach Algierii. Dzięki brakowi opancerzenia i wysokiej mobilności auto mogło sprawnie przemieszczać się po polu walki.

Z czasem dalsze modyfikowanie militarnego 2CV zarzucono. Dla wojskowych konstrukcja okazała się zbyt przestarzała i nieperspektywiczna. Ale na rynku cywilnym auto sprzedawało się dobrze. W 1963 r. zwiększono moc jego silnika do 18 koni i unowocześniono tablicę wskaźników. W 1965 r. wprowadzono boczne okna za tylnymi drzwiami. W 1967 r. wprowadzono silnik o pojemności 602 cm sześc.

2CV jako symbol

Oblicza się, że do roku 1990 z fabryk w Levallois-Perret pod Paryżem, Chartres-de-Bretagne koło Rennes oraz z montowni w dziewięciu krajach na całym świecie (głównie w portugalskiej Mangualde) wypuszczono łącznie 3 mln 868 tys. 634 egzemplarze modelu Citroëna 2CV. Jeśli doliczymy do tego wersje pochodne i furgonetki, liczba ta sięga blisko 5,1 mln.

Oznaczało to, że auto było wszędzie: na każdej francuskiej ulicy, w każdym gospodarstwie czy warsztacie samochodowym. Usprawniało codzienne funkcjonowanie tysięcy rodzin, lecz także stało się narzędziem modernizacji francuskiej prowincji. Stanowiło podstawę motoedukacji dla każdego mechanika i przedmiot studiów na wydziałach mechanicznych. Citroën spełnił tę samą rolę co Fiat 500 we Włoszech, Volkswagen „Garbus" w Niemczech i „Żuk" w Polsce.

Latem 1959 r., w Lille, u progu swojej drugiej kadencji, w Citroënie 2CV sfotografował się prezydent Charles de Gaulle. Zważywszy, że polityk mierzył blisko dwa metry, był to dla marki reklamowy dar z nieba. „Nawet de Gaulle mieści się w naszych samochodach" – pisano w folderach.

Na planie filmowym

Francuski sentyment do „Kaczki", symbolu „Dawnej Francji", ugruntowała popkultura, głównie kino. Auto jeździło w wielu francuskich filmach: od „„Zagmatwanych" (1960 r.), przez „Paryż należy do nas" (1961 r.), „Bon Voyage!" (1962 r.), po „Życie prywatne" (1962 r.). Szczególnie fotogeniczne okazało się w „Żandarmie z St. Tropez" (1962 r.).

I budzi uśmiech do dziś. Oblicza się, że tylko we Francji istnieje kilkadziesiąt organizacji motofanów 2CV. Skupiają zbieraczy, rekonstruktorów i propagatorów modelu. Największa z nich to powstałe w 1986 r. w normandzkim miasteczku Damigny Association des 2CV Clubs de France.

Ale miłośnicy „Kaczki" zbierają się też poza Francją, głównie co dwa lata na World Meeting of the Friends of the 2CV. W 2023 r. impreza odbyła się w Szwajcarii, a w 2025 r. w Słowenii. Za rok planowana jest w Holandii. Jednorazowo Meeting gości nawet kilka tysięcy samochodów. Tak było w 2021 r., gdy w 2021 r. do Torunia zjechało 2,5 tys. Citroënów 2CV. Liczba kierowców ustylizowanych na żandarma z St. Tropez przekroczyła kilkadziesiąt osób.

Polska szansa

Historycy motoryzacji twierdzą, że Citroën 2CV mógł pojawić się w Polsce już w 1957 r. Trwały wtedy rozmowy gospodarcze między rządami Polski Ludowej i Francji. Jednym z wątków była motoryzacja.

„Dziennik Polski" na pierwszej stronie wydania z 11 października 1957 r. donosił: „Ostatnio władze polskie wyraziły pragnienie upoważnienia zachodnich konstruktorów do zainstalowania taśmy montażowej w Warszawskiej Fabryce Samochodów, aby ulepszyć miejscową produkcję samochodów, która jest niewystarczająca i bardzo kosztowna". Konkluzja teksty brzmiała zaś następująco: „Wydaje się, że samochody »Citroën« 2CV są wymarzonym modelem dla Polski. W Polsce spodziewają się, że firma ta złoży ofertę".

Z szumnych planów niewiele wyszło. Na polityczne fiasko nie wpłynęły nawet motoryzacyjne upodobania premiera Józefa Cyrankiewicza, a na naszych drogach dalej śmigały „Warszawy", „Syreny" i „Lubliny".

2CV wjeżdża na amerykańską ziemię

Jak pisał zmarły w lipcu tego roku inż. Zdzisław Podbielski, autor książki „Poznajemy samochody osobowe świata. Pojazdy francuskie", Citroën 2CV miał swoją karierę w najbardziej zmotoryzowanym kraju na świecie – Stanach Zjednoczonych. Jego cena w 1957 r. wynosiła tam średnio 800 dolarów, co było zdumiewająco niską kwotą – popularny Chevrolet „Bel Air" kosztował od 2 tysięcy USD w górę.

Jeżeli Amerykanie kupowali 2CV, to głównie ze względu na jego europejską egzotykę i „unikalną wręcz brzydotę". W 1959 r. w styczniowym numerze „Popular Mechanics Magazine" pisano: „Jeśli chcielibyście zrobić brzydszy samochód – nie moglibyście. Ani bardziej ukochanego samochodu przez właścicieli". Ale dodawano z nutą sympatii: „Pojedzie wszędzie, w każdych warunkach".

Sławę i uznanie 2CV zdobył dopiero w latach 60. na fali rewolucji hipisowskiej – na równi z Volkswagenem T1 i „Garbusem".

Popularność Citroëna 2CV doczekała się właśnie przekucia w realny produkt – nowej odsłony klasyka. Premierę nowego 2CV zaplanowano podczas salonu Mondial de l'Auto w paryskim Expo Porte de Versailles.

eprasa.pl 95e9f48b56

POD PARAGRAFEM

• **Pamiętajcie o Dicku Francisie**, którego 106 rocznica urodzin właśnie się zbliża (31 października 1920 r. – zmarł 14 lutego 2010 r). Ten brytyjski pisarz zasłynął m.in. głośnym kryminałem „Dead Cert", wydanym w 1962 r., pełnym wątków hippicznych.

HISTORIA

Jak francuscy kolaboranci III Rzeszy walczyli w „obronie Europy"

Wojciech Rodak

Francuscy kolaboranci z dywizji Waffen SS „Charlemagne" uważali się za rycerzy europejskiej antybolszewickiej krucjaty. Walczyli u boku III Rzeszy do samego końca.

Koniec marca 1945 r. Ofensywa 1. Frontu Białoruskiego dotarła do wybrzeży Bałtyku i linii Odry. Tymczasem na pomorskim zapleczu Sowietów wciąż pałętały się resztki rozbitych oddziałów. Także francuskiej SS „Charlemagne" Skąd się tam wzięły?



Żołnierze LVF w Froncie Wschodnim. Zdjęcie wykonano prawdopodobnie w okolicach Smoleńska w listopadzie 1941 r.

Obrońcy cywilizacji

Latem 1940 r. III Rzesza zajęła Francję. Berlin zarządzał podbitym krajem za pośrednictwem kolaboracyjnego reżimu Vichy. Marszałek Philippe Pétain, który stał na jego czele, godził się na wiele ustępstw wobec nazistów, lecz nie był całkowicie uległym partnerem. Wśród pupilków hitlerowskiego namiestnika wyróżniały się zwłaszcza dwie malownicze postaci. Pierwszą był Jacques Doriot, przywódca dość licznej Francuskiej Partii Ludowej (PPF). Drugą – Marcel Déat, szef kolaboracyjnego ugrupowania o nazwie Zgromadzenie Ludowo-Narodowe (RNP). Po inwazji Niemiec na ZSRR obaj panowie uznali, że „antykomunistyczna krucjata" nie może się odbyć bez udziału tak „zasłużonego dla cywilizacji europejskiej" narodu jak Francuzi.

Z ich inspiracji koalicja liderów ruchów narodowo-faszystowskich zainicjowała 7 lipca 1941 r. w Paryżu utworzenie Legionu Ochotników Francuskich przeciwko Bolszewizmowi (LVF), który miał walczyć u boku Wehrmachtu i SS. Pomysł wkrótce zyskał aprobatę Adolfa Hitlera i oschłe „błogosławieństwo" Pétaina, który na tę okoliczność zniósł nawet prawny zakaz służenia Francuzów w obcych armiach. Plakaty zachęcające do walki „w obronie Europy" pojawiły się w całym kraju.

Wierność Hitlerowi

Mimo zaangażowanych sił i środków młodzi Francuzi nie garnęli się tłumnie w szeregi „szkopskiej armii", jak postrzegano LVF. Hitler zbytecznie zastrzegał, że legion może liczyć jedynie 15 tys. żołnierzy. Do jesieni 1941 r. zgłosiło się tylko 13,4 tys. ochotników. Z tej liczby jedynie mniej niż połowę, ok. 5,8 tys. ludzi, uznano za nadających się do służby. Dominowali wśród nich działacze partii faszystowskich, członkowie kolaboracyjnych milicji i byli wojskowi.

We wrześniu 1941 r. pierwsza grupa rekrutów LVF, a wśród nich sam Jacques Doriot, wyruszyła na szkolenie do obozu szkoleniowego pod Dębicą w okupowanej Polsce. Tutaj spotkał ich pierwszy zawód. Przydzielono im zwykłe mundury Wehrmachtu, a jedyne, co ich wyróżniało, to naszywka z flagą Francji na przedramieniu. Kazano im też przysięgać wierność Adolfowi Hitlerowi.

Ostatecznie do końca października wyszkolono przeszło 2353 żołnierzy LVF. Stworzono z nich sześć kompanii wyposażonych w broń lekką, dwie kompanie uzbrojone w karabiny maszynowe, kompanię przeciwpancerną z działami PAK-35/36 i oddział żandarmerii. Dowódcą legionu został 60-letni płk Roger Labonne.

Wierność Hitlerowi

Mimo zaangażowanych sił i środków młodzi Francuzi nie garnęli się tłumnie w szeregi „szkopskiej armii", jak postrzegano LVF. Hitler zbytecznie zastrzegał, że legion może liczyć jedynie 15 tys. żołnierzy. Do jesieni 1941 r. zgłosiło się tylko 13,4 tys. ochotników. Z tej liczby jedynie mniej niż połowę, około 5,8 tys. ludzi, uznano za nadających się do służby. Dominowali wśród nich działacze partii faszystowskich, członkowie kolaboracyjnych milicji i byli wojskowi.

We wrześniu 1941 r. pierwsza grupa rekrutów LVF, a wśród nich sam Jacques Doriot, wyruszyła na szkolenie do ogromnego obozu szkoleniowego pod Dębicą w okupowanej Polsce. Tutaj spotkał ich pierwszy zawód. Przydzielono im zwykłe mundury Wehrmachtu, a jedyne, co ich wyróżniało, to naszywka z flagą Francji na prawym przedramieniu. Kazano im też przysięgać wierność Adolfowi Hitlerowi. Ostatecznie do końca października wyszkolono przeszło 2353 żołnierzy LVF. Dowódcą został 60-letni płk Roger Labonne, wybitny historyk wojskowości i dyplomata.

W butach Napoleona

W końcu listopada 1941 r. bitwa pod Moskwą była w decydującej fazie. Niemcy w niektórych miejscach przełamali sowieckie linie obronne i wdarli się na przedmieścia stolicy. Wydawało się, że szala zwycięstwa przechyla się na ich stronę, gdy nastąpiło gwałtowne załamanie pogody. W środek tego krwawego i mroźnego inferna rzucono żółtodziobów z LVF.

W czasie natarcia na Moskwę LVF działał w ramach 7. Dywizji Piechoty gen. Eccarda Freiherra von Gablenza. Od 25 listopada do 6 grudnia bezskutecznie szturmowali Sowietów. Wprawdzie zdobywali się na brawurowe szarże, ale brakowało im organizacji i doświadczenia. Marzli w temperaturze -40 st. C.

Wierność Hitlerowi

W lutym 1942 r. Francuzi zostali wysłani na szkolenie do obozu w Kruszynie pod Radomiem. Jednocześnie wśród oficerów LVF przeprowadzono czystkę. Wyrzucono płk. Labonne'a. Przed legionistami postawiono także nowe zadania. Mieli uczestniczyć w zwalczaniu partyzantki na zapleczu frontu wschodniego, czyli na dzisiejszym pograniczu Białorusi i Rosji.

Od wiosny 1942 r. do czerwca 1943 r. dwa bataliony LVF operowały osobno, bez centralnego dowódcy, podporządkowane różnym niemieckim jednostkom. W operacjach przeciwpartyzanckich Francuzi radzili sobie lepiej niż pod Moskwą, aczkolwiek w brutalności i represjach niejednokrotnie prześcigali Niemców. Zabijali dzieci, gwałcili kobiety i kradli, za co niejednokrotnie dyscyplinowali ich przełożeni z Wehrmachtu.

Od czerwca 1943 r. szeregi legionu powiększono o kolejny batalion. Wtedy wszystkie trzy zaczęły znów operować razem pod nowym dowódcą płk. Edgarem Puaudem, 53-letnim weteranem Legii Cudzoziemskiej. Znacznie podniósł wartość bojową LVF. Spektakularnym sukcesem z udziałem Francuzów była operacja przeciwpartyzancka o kryptonimie „Maroko" w lutym 1944 r. w lasach we wschodniej Białorusi. Latem 1944 r. żołnierze legionu brali udział w walkach po rozpoczęciu przez Sowietów operacji „Bagration".

W butach Napoleona

Waffen-SS prowadziło rekrutację na terenie okupowanej Francji od lipca 1943 r. Do służby zgłosiło się około 3 tys. ochotników, z których po ostrej selekcji ok. 1,5 tys. skierowano do szkół SS w Bawarii i Poznaniu. Utworzono Francuską Ochotniczą Brygadę Szturmową SS. Od sierpnia 1944 r. brała ona udział w krwawych walkach w Galicji jako część 18. Dywizji SS „Horst Wessel".

We wrześniu 1944 r. Himmler rozkazał, by z najlepszych francuskich formacji kolaboracyjnych utworzyć jedno duże zgrupowanie SS. Tak narodziła się 33. Dywizja Grenadierów SS „Charlemagne". Oficjalnie jej dowódcą został płk Puaud, ale w rzeczywistości podlegał on rozkazom gen. SS Gustava Krukenberga. Nowa jednostka liczyła niewiele ponad 7 tys. żołnierzy. Francuska jednostka SS trafiła na front pod koniec lutego 1945 r. Debiutowała w zaciętej bitwie z oddziałami Frontu Białoruskiego, która rozegrała się wokół miasta Czarne na Pomorzu. W wyniku tej bitwy uległa ona rozbiciu na trzy części. Jedna została odcięta i brała udział w obronie Gdyni. Druga, dowodzona przez Krukenberga, zdołała się wycofać w stronę wybrzeży Bałtyku i broniła Karlina i Kołobrzegu. Trzecia zamierzała wycofać się na zachód, gdy zmasakrowała ją artyleria Armii Czerwonej. W zamieszaniu zniknął gdzieś płk Puaud. Ocalałych szybko wyłapano lub wybito.

eprasa.pl 95e9f48b56

100 WPŁYWOWYCH KOBIET

Dziś zaczyna się ogólnopolski finał akcji. Są w nim trzy niesamowite kobiety z naszego województwa!

Agata Bednarek, Zenobia Żaczek i Iwona Kublik - to właśnie te trzy panie będą reprezentować nasze województwo w ogólnopolskim finale akcji 100 Wpływowych Kobiet!

Zwyciężczynie wojewódzkiego etapu akcji 100 Wpływowych Kobiet poznaliśmy w czwartek wieczorem, 1 października. Finał przyniósł rozstrzygnięcie po tygodniach głosowania, prezentowania przez nas sylwetek nominowanych pań i śledzenia wyników.

Już sama nominacja była wielkim wyróżnieniem

Na początku akcji z dumą zaprezentowaliśmy listę 100 najbardziej wpływowych kobiet w województwie przygotowaną przez kolegium redakcyjne naszej gazety. - Panie reprezentowały różne dziedziny, ale łączyło je jedno: to kobiety pełne energii, skuteczne w działaniu, podziwiane i szanowane. Autorytety w swoich dziedzinach, które swoją pracą i zaangażowaniem kształtują życie naszego regionu - przypomina Katarzyna Adamczyk, która opiekuje się plebiscytem od strony redakcyjnej i przez ostatnie tygodnie przedstawiała panie biorące w nim udział, dostrzeżone za swoją działalność, osiągnięcia, zaangażowanie i wpływ na otoczenie.

Jak dodaje dziennikarka: - Gdyby to nasz redakcyjny zespół miał wskazać zwyciężczynie, wybór byłby piekielnie trudny. Każda z tych kobiet zasługiwała na miejsce na podium. Na szczęście decydowali Czytelnicy oraz Internauci.

A ci mocno wspierali swoje faworytki, głosowali, czekali na rozstrzygnięcie z zapartym tchem. Stawka była duża. Zwycięstwo w etapie wojewódzkim oznaczało nie tylko miejsce na podium w regionie, ale także awans do ogólnopolskiego finału akcji. 1 października głosowanie zostało zakończone i poznaliśmy trzy panie, które zdobyły największe poparcie Czytelników i Internautów w naszym województwie. To właśnie one będą reprezentować nasz region w ogólnopolskim finale akcji 100 Wpływowych Kobiet: Agata Bednarek (prezeska zarządu Fundacji Dr Clown, Warszawa), Zenobia Żaczek (działaczka społeczna, współzałożycielka Komitetu Obrony Praw Lokatorów, Warszawa) i Iwona Kublik (burmistrz Sokołowa Podlaskiego).

Pozna je cała Polska

- Przyznam szczerze, że jestem lekko zszokowana, bo kompletnie się nie spodziewałam. Jest mi bardzo miło. Cieszę się, że weszłam do tej akcji właśnie z taką nominacją, bo moja praca jest moją pasją, a Fundacja Dr Clown jest moim dzieckiem. Cieszę się, że będę miała okazję o niej opowiedzieć. To jest sukces wszystkich naszych pracowników - komentuje swoje zwycięstwo Agata Bednarek.

Fundacja Dr Clown, którą reprezentuje, działa od 27 lat w Polsce i zajmuje się wsparciem osób w kryzysie zdrowia. - Odwiedzamy je w szpitalach i placówkach specjalistycznych. Jako doktorzy klauni niesiemy uśmiech i wsparcie - wyjaśnia najbardziej Wpływowa Kobieta naszego województwa.

- Wpływowa? Przyznam, że jest to dla mnie coś nowego. Nigdy na siebie w ten sposób nie patrzyłam. Zawsze wychodziłam z założenia, że trzeba robić swoją robotę - i że każda mała zmiana zmienia świat - mówi.

Etap wojewódzki dobiegł końca, ale emocje się nie kończą. Dziś startuje głosowanie w ogólnopolskim finale. Potrwa do 20 października, a głosami Czytelników dzienników regionalnych z całej Polski zostanie przyznany tytuł Wpływowej Kobiety Polski 2026. Zwyciężczyni otrzyma nagrodę finansową w wysokości 10 tys. zł, statuetkę oraz dyplom potwierdzający zdobycie tytułu.

Więcej o akcji czytaj na:
polskanews.pl/100-kobiet



MIEJSCE I



Agata Bednarek, prezeska Zarządu Fundacji Dr Clown (Warszawa), nominowana do akcji za wkład w transformację polskiego systemu wsparcia emocjonalnego pacjentów

MIEJSCE II



Zenobia Żaczek, działaczka społeczna, współzałożycielka Komitetu Obrony Praw Lokatorów (Warszawa), nominowana za pomoc lokatorom zagrożonym eksmisją oraz obronę ich praw

MIEJSCE III



Iwona Kublik, burmistrz miasta Sokołów Podlaski, nominowana przez naszą redakcję do akcji 100 Wpływowych Kobiet za efektywne zarządzanie miastem i gminą Sokołów Podlaski

eprasa.pl 95e9f48b56

PLEBISCYT

Sołtys to więcej niż funkcja. To człowiek od wielu spraw

(ka)

Mistrzowie Agro to nie tylko plebiscyt i rywalizacja o głosy. To przede wszystkim ludzie, którzy swoją pracą, pasją i zaangażowaniem zmieniają polską wieś. Poznaj pierwszych uczestników wielkiej akcji rolniczej.

To akcja, która doskonale pokazuje coś, co daleko wychodzi poza formalne ramy plebiscytu, czekające na zwycięzców wspaniałe nagrody czy niezapomniane emocje. - Bo Mistrzowie Agro są także po to, by pokazywać ludzi, którzy tworzą współczesną polską wieś, doceniać ich pracę i sprawić, by ich historie poznali także inni - wyjaśnia Katarzyna Adamczyk, która opiekuje się tą akcją od strony redakcyjnej.

Jak dodaje: - Dziś przedstawiamy historie dwóch sołtysów, którzy opowiadają o swojej pracy, życiu i o tym, co daje im największą satysfakcję. Chcemy, żebyście poznali ich bliżej, bo sołtys to ktoś znacznie więcej niż osoba, do której mieszkańcy przychodzą z lokalnymi sprawami. To najczęściej człowiek, który zna swoją wieś od podszewki, potrafi łączyć ludzi, słuchać ich i działać wtedy, gdy trzeba coś zmienić. W plebiscycie Mistrzowie Agro poznajemy i nagradzamy właśnie takie osoby.

Pomyślała: „Jeśli ktoś ma coś zrobić dla naszej wsi, to dlaczego nie ja?”. I tak wszystko się zaczęło

Iwona Wachnik (Sołectwo Boguszków, gmina Magnusze) chciała działać, a nie tylko mówić o potrzebnych zmianach. Dziś angażuje do tego mieszkańców.



Nigdy wcześniej nie zakładała, że zostanie sołtysem. Nie planowała pełnienia żadnej funkcji, ale od zawsze bliskie były jej sprawy wsi i jej mieszkańców. Z czasem coraz mocniej angażowała się w życie miejscowości i dostrzegała, że wiele rzeczy można zrobić inaczej, lepiej, a przede wszystkim wspólnie. Chciała, aby wieś żyła, a mieszkańcy mieli okazję do spotkań, rozmów i podejmowania wspólnych inicjatyw. - Kiedy pojawił się pomysł, żebym została sołtysem, miałam oczywiście obawy. Wiedziałam, że to odpowiedzialność, dużo pracy, telefonów i rozmów, czasem trudnych sytuacji, a także konieczność znalezienia czasu nawet wtedy, kiedy człowiek ma swoje codzienne obowiązki. Pomyślałam jednak: „Jeśli ktoś ma coś zrobić dla naszej wsi, to dlaczego nie ja?”. I tak się zaczęło - wspomina. Od początku zależało jej na tym, aby nie być sołtysem jedynie „na papierze”. Stara się być blisko ludzi, słuchać ich potrzeb, angażować się w życie miejscowości i integrować lokalną społeczność. Największą satysfakcję daje jej widok mieszkańców, którzy chcą być razem i angażować się we wspólne inicjatywy.

Wierzy, że to ludzie są fundamentem sołectwa, a bez ich zaangażowania trudno byłoby działać

Uważa, że sołtys jest trochę jak gospodarz na własnym podwórku. Powinien dbać o porządek, bezpieczeństwo i potrzeby całej społeczności.



- Zostałem sołtysem, ponieważ jestem młodym człowiekiem, który chce próbować nowych rzeczy i podejmować kolejne wyzwania. Kiedy pojawiła się możliwość objęcia tej funkcji, pomyślałem: dlaczego nie? Po części do kandydowania namówili mnie również mieszkańcy. Jak to mówią, złożyły się na to „trzy oczka”: wybory odbyły się 21 maja, miałem 21 lat, kiedy zostałem sołtysem, a poprzednia pani sołtys pełniła tę funkcję przez 21 lat - opowiada Adrian Sokołowski (Sołectwo Jadwigów, gmina Błędów). Dziś jest dumny z działań podejmowanych na rzecz wsi. Powstają nowe drogi, a on stara się pozostawać w stałym kontakcie z mieszkańcami, rozmawiać o ich problemach i wspólnie szukać możliwych rozwiązań. Szczególnie ceni jedność mieszkańców i ich gotowość do wzajemnej pomocy.

Mistrzowie AGRO

LIDERZY POSZCZEGÓLNYCH KATEGORII PLEBISCYTU

Więcej na: polskanews.pl/agro

SOŁTYS ROKU

1. **Jakub Serafimowicz,** Sołectwo Zaździerz, gmina Łąck
2. **Marek Ziółek,** Sołectwo Mikówka, gmina Białobrzegi
3. **Alicja Niezgoda,** Sołectwo Lorcin, gmina Nasielsk
4. **Małgorzata Kawka,** Sołectwo Sępochów, gmina Kołbiel
5. **Wioletta Skalska,** Sołectwo Pawłów, gmina Chlewiska

ROLNIK ROKU

1. **Dariusz Zembrzuski,** Załogi-Jędrzejki
2. **Karol Grudniewski,** Kolonia Seredzice
3. **Krzysztof Trawiński,** Jarnuty
4. **Agnieszka Wiśniewska,** Nowa Pułapina
5. **Elżbieta Pomorska,** Dziurków

LIDERKA/LIDER ROKU

1. **Małgorzata Przybysz,** Kania Nowa
2. **Katarzyna Szymaniuk,** Stare Szpaki
3. **Witold Bykowski,** Janików
4. **Marcin Marczak,** Maruszów, OSP KSRG Maruszów
5. **Monika Wieczorek,** Gawłów, KGW Kwiat Karwowa i Gawłowa

LEŚNICZY ROKU

1. **Wojciech Bobek,** Leśnictwo Jastrząbka
2. **Sabina Godonczuk,** Leśnictwo Fidest
3. **Paweł Kozłowski,** Leśnictwo Kisielew

WYPOCZYNEK BLISKO NATURY ROKU

1. **Agroturystyka Zagroda Pod Lipami,** Zglenice-Budy
2. **Glamping Chaszcze,** Białobrzegi
3. **Zielona Farma - Mordy,** Mordy
4. **Ranczowisko,** Cekanowo
5. **Farma Ciepielewo,** Ciepielewo

KOŁO GOSPODYŃ WIEJSKICH ROKU

1. **KGW Nowinianki,** gmina Wyszków
2. **KGW Kędzierówka-Jeziórko-Krupia Wolka,** gmina Prażmów
3. **KGW Koszelewianki,** gmina Gąbin
4. **KGWiG Pogromcy Beretów Kania Nowa,** gmina Serock
5. **KGW Lucimianki,** gmina Przyłęk

SOŁECTWO ROKU

1. **Sołectwo Radonie,** gmina Grodzisk Mazowiecki
2. **Sołectwo Ciepielewo,** gmina Szelków
3. **Sołectwo Słup Drugi,** gmina Borowie
4. **Sołectwo Bolesławowo,** gmina Serock
5. **Sołectwo Zapusta,** gmina Sienno

Patroni honorowi:

Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi
Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi Stefan Krajewski

ARiMR Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa

Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa

Partnerzy plebiscytu:

Targi Kielce exhibition & congress centre

agrotech

Patronat regionalny:

MODR WARSZAWA

eprasa.pl 95e9f48b56

ŻUŻEL

Bartosz Zmarzlik: Żużel jest jak puzzle – jak nie poukładasz, to nie masz obrazu

Rozmawiał Szymon Zatylny

Bartosz Zmarzlik, wicemistrz świata na żużlu, podsumowuje miniony sezon Grand Prix. Po pasjonującej walce do ostatnich metrów wywalczył w nim swój dziesiąty medal światowego czempionatu.



FOT. ANETA KOLESIŃSKA/POLSKA PRESS

Mistrz żużla Bartosz Zmarzlik z synami: Antonim (rocznik 2021 roku) i Franciszkiem (rocznik 2024)

Jedziesz ostatni bieg mistrzostw świata, nie udaje się go wygrać, ale to nadal jest gigantyczny sukces – wicemistrzostwo świata. Co czujesz? Jaka jest pierwsza reakcja, gdy kończy się ten bieg?

Szybko sam sobie powiedziałem, że widocznie nie było mi dane wygrać w tym roku. Podszedłem do tego spokojnie, bez nerwów. Myślę, że z biegiem czasu się tego nauczyłem, ponieważ kiedyś może inaczej bym na to zareagował. Wiem, że nie ma to zupełnie sensu i niczego w życiu nie zmienia. Denerwowanie się nie naprawia żadnej sytuacji, więc należy podejść do tego normalnie i spokojnie. Czasu przecież nie cofniesz.

Przyzwyczaiłeś nas już do tego, że jesteś wręcz maszyną żużlową, praktycznie niepopełniającą błędów. W ostatnim finale się nie udało, lepszy był Robert Lambert. Czy gdybyś mógł cofnąć się do tamtego momentu, coś byś jeszcze zmienił albo poprawił?

Myślę, że po sobocie bardziej cieszyłbym się z tego, że udało się wywalczyć srebrny medal, niż narzekałbym, że czegoś nie udało się zrobić. Każdy medal mistrzostw świata jest cenny. Z mojej perspektywy, tak jak wspomniałeś, przyzwyczaiłem wszystkich do dobrych wyników, a czasem nie doceniamy tego, co w danym momencie jesteśmy w stanie osiągnąć. Do ostatniej minuty wszystko było możliwe, więc cieszę się, że kolejny raz mogłem tego doświadczyć. Byłem w czołówce, byłem w kontakcie, walczyłem o to, czego wszyscy ode mnie chcieli i wymagali. Tym razem się nie udało. Bardziej cieszę się z tego, że przez 10 lat zdobyłem 10 medali mistrzostw świata. Już wspominałem o tym w wywiadach, że jako dziecko nawet o tym nie myślałem i nie wybiegałem tak daleko. Myślę, że każdy młody sportowiec marzy o topowym wyniku w swojej dyscyplinie. Dla mnie takim wynikiem było mistrzostwo świata. Ale wtedy na pewno nie byłem świadomy tego, co trzeba zrobić, ile trzeba przejść, ile trzeba zrozumieć, ile pracy włożyć, ile trzeba mieć wokół siebie dobrych ludzi i ilu rąk do pracy potrzeba, żebym ja mógł się spełniać.

W wywiadach często mówisz, że twoi synowie pytają tatę, dlaczego nie wygrał. Jak zareagowali w sobotę?

To są malutkie chłopaki, jeszcze nie w pełni świadome. Chcę im jednak pokazywać świat sportu i uczestniczyć z nimi w tym, bo dla mnie jako ojca jest to bardzo miłe, że mogę ich wziąć na podium. To są dla mnie wzruszające momenty, które przeżywam z nimi w takich nadzwyczajnych, pięknych chwilach.

Masz 10 medali na przestrzeni ostatnich 10 lat. Gdyby jednak zabrać wszystkie wyniki, medale i to, co udało ci się osiągnąć, a zostawić tylko notatki, rozmowy z mechanikami i meczową kuchnię, to co z twojej perspektywy jest najważniejsze w sporcie?

Wszystko. Żużel jest jak puzzle – jeśli nie poukładasz tego w odpowiedni sposób, to nie masz obrazu. Taki jest żużel, taki jest motosport. Jest wiele czynników, które musisz poskładać do kupy. Nie ma jednej złotej zasady czy recepty, żeby być na topie i osiągać dobre wyniki.

Michael Schumacher kiedyś ścigał się z Fernando Alonso w Grand Prix Japonii i Fernando miał powiedzieć: „Mogłem wjechać w ten zakręt, bo Schumacher odpuści, w domu czekają na niego dzieci". Czy ty dzisiaj też masz taką perspektywę, że pewnych rzeczy w walce o kolejny tytuł już nie zrobisz? Czy może determinacja wciąż ciągnie cię do przodu?

Determinacja jest nadal wielka. Sam byłem ciekawy tych uczuć, bo takie rzeczy czy plotki, czasem raz powiedziane przez kogoś, są wyolbrzymiane. Po drugie, dzieci dały mi na pewno dużo spokoju i zrozumienia, co jest w życiu ważne, a co jest ważniejsze. Ale gdy zakładasz kask, wykonujesz po prostu swoją pracę, żeby pokazać im, jak tata sobie radzi.

Wspomniałeś kiedyś, że kiedy jedzie się z przodu, ryzyko wypadku jest o wiele mniejsze niż wtedy, gdy walczysz w kotle z tyłu z innymi zawodnikami. Patrząc na dzisiejszy sezon i to, co się wydarzyło: jak dramatyczny był on dla wielu zawodników ze względu na kontuzje? Co z twojej perspektywy jako wicemistrza świata jest do poprawy, jeśli chodzi o bezpieczeństwo? To bardziej kwestia torowa czy może jednak regulaminów?

Ciężko się do tego odnieść, bo niektóre sytuacje, które wydarzyły się w tym roku, w ogóle nie powinny się zdarzyć. Wynikały one z tego, że zawodnicy znajdowali się w nieodpowiednim momencie w nieodpowiednim miejscu, na co nieraz w ogóle nie mamy wpływu. Nie jesteś w stanie przekalkulować tysiąca rzeczy w ułamku sekundy. Nie wiem, to raczej temat na głębsze analizy zimą.

14 lat nie odniosłeś urazu, który wykluczyłby cię z jazdy. Miałeś jakąś kontuzję, o której nikt nie wiedział?

Grając w piłkę, złamałem palec. A na drugi dzień wygrałem mistrzostwo Ekstraligi w Toruniu. To pamiętam jako śmieszną sytuację – wykręciłem tam nogę, kolejnego dnia nie mogłem kopać, ale były też potłuczenia, skręcenia i jakieś upadki, które wymagały chwili odpoczynku czy rehabilitacji.

A czy kiedyś twoje własne przeczucie przed zawodami, taka ślepa wiara w to, że wiesz, co robisz, zawiodła cię podczas zawodów?

Nie wiem. Chyba nie...

KRÓTKO

Formuła 1

Pierwsze zwycięstwo Maxa Verstappen w sezonie

Holender Max Verstappen (Red Bull) wygrał przeniesioną do Malezji Grand Prix Bahrajnu – 16. rundę mistrzostw świata Formuły 1. Drugi był prowadzący w klasyfikacji generalnej Włoch Andrea Kimi Antonelli (Mercedes). Niedzielna rywalizacja opóźniła się o ponad półtorej godziny z powodu deszczu. Holender odniósł pierwsze zwycięstwo w tym sezonie, a 72. zwycięstwo w karierze. W klasyfikacji wszech czasów jest pod tym względem trzeci, za Brytyjczykiem Lewisem Hamiltonem – 106 i Niemcem Michaelem Schumacherem – 91.
PaW.

Tenis

„Hubi" gra jak natchniony. Ma już półfinał w Pekinie

Hubert Hurkacz pokonał Rosjanina Karena Chaczanowa 7:6(2), 6:2, wygrał 250. mecz w karierze i awansował do półfinału turnieju tenisowego ATP 500 – „China Open" (pula nagród: 4 089 385 USD) na twardych kortach w Pekinie. Kolejnym rywalem Polaka będzie Australijczyk Alex De Minaur. Dotychczas „Hubi" wygrał jeden z czterech rozegranych przez panów meczów.

Tenis

Sensacyjne rozstrzygnięcia w stolicy Państwa Środka

Zupełnie nieoczekiwanie, z turniejem tenisowym WTA 1000 – „China Open" (pula nagród: 9 415 725 USD) pożegnały się już dwie najwyżej rozstawione tenisistki. Najpierw odpadła liderka rankingu światowego, Rosjanka z paszportem Kazachstanu – Jelena Rybakina, przegrywając mecz w 2. rundzie z Ormianką Aliną Charajewą, a kilka godzin później z imprezą pożegnała się Aryna Sabalenka. Białorusinka nie sprostała Czeszce Nikoli Bartunkovej (4:6, 3:6).
PaW.

Pływanie

Polska jedynaczka wciąż w elicie sprinterek

Podczas zawodów Pucharu Świata, które gościły w Baku, Katarzyna Wasick wygrała wyścig na 50 metrów stylem dowolnym (23.56) i była druga na dwukrotnie dłuższym dystansie (52.12). Wasick jest jedyną Polką, która ściga się w tegorocznym PŚ.
PaW.



FOT. SZYMON GRUCHALSKI/POLSKA PRESS

eprasa.pl 95e9f48b56

SKOKI NARCIARSKIE

Kamil Stoch: Marzę o tym, żeby pojechać na... narty

Kamil Stoch, wybitny skoczek narciarski, cieszy się nowym etapem w swoim życiu. Właśnie został doradcą zarządu Polskiego Związku Narciarskiego. Nam opowiada m.in. o swoich aktywnościach sportowych, czyli rowerze i siłowni

Artur Bogacki



FOT. WOJCIECH MATUSIK/POLSKA PRESS

Dwie niekwestionowane ikony polskiego narciarstwa klasycznego: Kamil Stoch i Justyna Kowalczyk

Kilka miesięcy temu oficjalnie zakończył pan karierę. Jak wrażenia z tej sportowej emerytury?

Czuję się wspaniale, cenię sobie bardzo ten czas. Oczywiście skoki narciarskie były bardzo piękną przygodą, natomiast teraz tak naprawdę zaczęło się życie.

Ma pan czas chyba już na wszystko.

Nie do końca. Chcę robić wszystko, a później się okazuje, że jednak nie mam tyle czasu, by tak było. Uczę się teraz zarządzać odpowiednio tym czasem, swoim kalendarzem i w jakiś sposób planować tak, abym mógł robić to, na co mam ochotę, ale jednocześnie też robić te rzeczy, które są ważne i które trzeba zrobić.

Przez ponad dwadzieścia lat miał pan ustalony schemat praktycznie każdego tygodnia, a teraz jest pełna dowolność. Udało się już coś nadrobić? Jakieś marzenie spełnić?

Oczywiście. Kupiłem sobie rower górski i jeżdżę. Może jeszcze nie tyle, ile bym chciał, ale już naprawdę sporo kilometrów zrobiłem tego lata. Marzę o tym, żeby w końcu pojechać na narty. Może jeszcze nie do Val di Fiemme, bo to jest trochę daleko, ale gdzieś bliżej na początek. No i oczywiście wybieramy się z małżonką w naszą podróż życia (Stoch na zakończenie kariery dostał od PZN bilet na wyprawę dookoła świata – przyp.). Mam nadzieję, że to będzie piękny czas.

Mówi pan o rowerze, nartach, czyli od tego sportu, któremu poświęcił pan większość życia, nie da się uciec.

Oj, nie. Zresztą ja przecież nigdy nie mówiłem, że po zakończeniu kariery „nic nie będę robił". Myślałem, że jeszcze pójdę na skocznię, ale okazało się po jakimś czasie, że już po prostu w ogóle mnie tam nie ciągnie. Chodzę na siłownię. Staram się ćwiczyć minimum dwa razy w tygodniu, żeby być w dobrej dyspozycji, ale także po to, żeby po prostu dobrze się czuć. Jak widać, nie unikam aktywności fizycznej.

Na fotel w gabinecie prezesa PZN pana nie ciągnie? Adam Małysz już przetarł taki szlak.

Nie, zupełnie nie. [śmiech] Na razie jednak zostańmy przy tych aktywnościach fizycznych.

W swojej karierze osiągnął pan wielkie rzeczy, zdobywał medale, Kryształowe Kule. Co było największym sukcesem?

Nie wiem. Nigdy nie dzieliłem swoich zwycięstw czy sukcesów na bardziej i mniej ważne. Natomiast szczerze jestem dumny i bardzo się cieszę z tego, że byłem częścią najlepszej drużyny w historii skoków narciarskich w Polsce i że miałem okazję wspólnie z kolegami odnosić i celebrować te największe sukcesy.

Odniósł pan trzydzieści dziewięć indywidualnych zwycięstw w Pucharze Świata – tyle samo, co Adam Małysz. Czy chęć wyprzedzenia go w tym zestawieniu była dla pana motywacją pod koniec kariery?

Tak, też, nie będę tego ukrywał. Chciałem jeszcze podkręcić ten swój wyczyn i myślę, że to też spowodowało trochę nadmierną presję, którą sam sobie narzuciłem. Aczkolwiek taki jest sport – trzeba sobie wyznaczać pewne cele, do których się dąży. Oczywiście tych motywacji, rzeczy, którymi się kierowałem, było więcej, bo to nie było tylko szybowanie, ale po prostu chęć bycia jeszcze raz wśród najlepszych.

A czy największym sukcesem nie jest to, że przez tyle lat był pan w światowej czołówce, przetrwał te reżimy treningowe?

Uważam, że sukcesy są takim zwieńczeniem, wspaniałą nagrodą za ciężką pracę, za poświęcenie i za czas, który spędzamy poza domem. Te ostatnie lata, które doświadczyły mnie w tak trudny sposób, jeżeli chodzi o sport, pokazały mi, że jednak też liczy się charakter, że zwycięstwa to nie jest to, co najważniejsze w życiu sportowca. Ważne jest, żeby dotrwać do końca, do mety, którą sami sobie wyznaczyliśmy.

Po trzydziestych urodzinach wygrał pan piętnaście konkursów Pucharu Świata – w takim zestawieniu jest pan absolutnie najlepszy. Co sprawiło, że był pan tak „długowieczny" i do trzydziestego czwartego roku życia regularnie stawał na podium?

Myślę, że wiele kwestii się na to złożyło. Przede wszystkim moja fizjologia. Późno zacząłem dojrzewać. Zacząłem tak naprawdę rosnąć w liceum i myślę, że to też miało wpływ na to, że ten szczytowy moment, jeżeli chodzi o fizyczność, przypadł właśnie na ten trzydziesty rok plus. No, ale też złożyło się na to szkolenie, trenerzy, z którymi pracowałem, plan treningowy i ich wskazówki.

Czy sukcesy Kacpra Tomasiaka sprawiają, że jest pan spokojny o przyszłość polskich skoków narciarskich?

Świadomość podejścia osób odpowiedzialnych za rozwój sportów zimowych w Polsce sprawia, że jestem spokojny o tę dyscyplinę.

KOLARSTWO

Upadek Niewiadomej-Phinney tuż przed metą wyścigu o mistrzostwo Europy

Jacek Kmiecik

Katarzyna Niewiadoma-Phinney zakończyła wyścig elity kobiet ze startu wspólnego mistrzostw Europy w Słowenii upadkiem na kilkanaście metrów przed metą. Niezawodna Holenderka Demi Vollering obroniła tytuł.

Decydujący okazał się atak na ostatnim podjeździepod Možjancę. 14 kilometrów przed metą prowadziła trójka kolarek: dwie Holenderki, Demi Vollering i Puck Pieterse, oraz Katarzyna Niewiadoma-Phinney. Początkowo tempo narzucała Pieterse, ale najwięcej sił zachowała świeżo upieczona mistrzyni świata z Montrealu i pewnie pomknęła do przodu, dystansując zarówno swoją krajankę, jak i Polkę.

Vollering zbudowała sobie około 20 sekund przewagi nad goniącą dwójką i zmierzała po obronę tytułu mistrzyni Europy.

Tymczasem do Pieterse i Niewiadomej dołączyły Włoszka Elisa Longo Borghini, Szwajcarka Marlen Reusser i Niemka Antonia Niedermaier. 7 kilometrów przed metą przewaga Vollering wynosiła 30 sekund, a pięcioosobową grupę pościgową ciągnęła głównie Reusser. Brak zorganizowanej współpracy z tyłu spowodował, że prowadząca Holenderka była praktycznie pewna zwycięstwa.

Vollering obroniła tytuł mistrzyni Europy ze startu wspólnego elity kobiet. Mistrzyni świata utrzymała swoją przewagę do mety i samotnie przecięła kreskę 130-kilometrowej trasy z Lublany do Šenčuru.

Niewiadoma-Phinney zaliczyła kraksę na ostatnim zakręcie przed metą i ostatecznie ukończyła wyścig na szóstym miejscu.

– Nie wiem, co się właściwie stało. Walczyłyśmy, by wejść dobrze w zakręt, i wtedy straciłam przednie koło. Będę musiała to jeszcze raz obejrzeć. Jestem na pewno obolała. Wyścig zaczął się, gdy dojechałyśmy do wspinaczki, to znaczy do ostatniego okrążenia. Tempo na pewno było bardzo wysokie. Czułam, że mam siły, dopóki Demi Vollering nie przyspieszyła z jeszcze większym tempem. Jest supermocna – skomentowała na gorąco Niewiadoma-Phinney.

W piątek na inaugurację mistrzostw Europy w Lublanie znakomicie zaprezentował się Jan Jackowiak. W wyścigu ze startu wspólnego orlików został srebrnym medalistą. Mistrzostwo Europy U-23 zdobył Hiszpan Hector Alvarez, a trzecie miejsce zajął Belg Niels Driesen.

W sobotę w wyścigu ulicznym juniorów Adam Drozdowski był 15. Wygrał Norweg Elias Dybing.

eprasa.pl 95e9f48b56

PIŁKA NOŻNA

Dwie twarze Lewandowskiego. Jedna dziwna, jak na kapitana

Robert Lewandowski, autor hat-tricka w wysoko wygranym starciu z Rumunami, rozegrał najlepszy od dawna mecz w reprezentacji, ale...

Adam Godlewski



FOT. SYLWIA DĄBROWA/POLSKA PRESS

W piątek na Narodowym obaj liderzy naszej kadry dobrze się bawili

Taki mecz z Rumunią – rozegrany na luzie i z dużą liczbą goli – był potrzebny zarówno naszym piłkarzom, jak i selekcjonerowi Janowi Urbanowi. Oby stanowił punkt zwrotny, ale z zachwytami – a nawet miarodajnymi ocenami – trzeba się wstrzymać do dzisiejszego spotkania z Bośnią i Hercegowiną.

Trudno bowiem nie brać pod uwagę okoliczności, w jakich Biało-Czerwoni wbili w piątek na Narodowym 6 bramek znajdującym się w kryzysie gościom. Przez trzy czwarte meczu Rumuni grali przecież w 10 na 11 po czerwonej kartce dla Radu Dragusina, a gol Lewandowskiego z rzutu karnego podyktowanego za tę niefortunną interwencję ustawił piątkowe spotkanie.

Wieczorem w Zenicy oczekujemy oczywiście od reprezentantów powtarzalności na wysokim poziomie. Nie będzie to wcale proste, gdyż na rewanż z Bośnią i Hercegowiną polecieli osłabieni brakiem kapitana. „Lewy" w piątek nie tylko strzelił pierwszego od 7 lat w drużynie narodowej hat-tricka , ale „zarobił" (drugą w obecnej Lidze Narodów) żółtą kartkę, która wykluczyła go z dzisiejszego spotkania. Pierwszą Robert zobaczył w starciu ze Szwecją, w przedziwnych okolicznościach – gdy wszedł na plac gry dopiero w 88. minucie i w czasie doliczonym oddał strzał po gwizdku...

Od razu zatem po meczu z Rumunią w publicznej przestrzeni pojawiły się pytania, domysły, a nawet stwierdzenia, że Robert „wykartkował" się z premedytacją. A czarę goryczy przelała złożona „na gorąco" przed kamerami TVP deklaracja, że w zaistniałych okolicznościach zamiast z kolegami do Zenicy Lewandowski odleci do USA, aby w spokoju przygotować się do kolejnych występów w MLS w barwach Chicago Fire.

Szybko na drugi plan zeszły rekordy strzeleckie – w 170 występach w narodowych barwach „Lewy" zdobył 92 bramki i plasuje się na 6. miejscu w klasyfikacji najlepszych reprezentacyjnych strzelców wszech czasów. I ma realne szanse, aby jeszcze nawet w tym roku przesunąć się na pozycję numer 4 w tym prestiżowym zestawieniu, bo zajmujący tę lokatę Hindus Sunil Chhetri ma w dorobku tylko 3 trafienia więcej...

OK, żyjemy w komercyjnej rzeczywistości i zawodowy piłkarz ma nie tylko prawo, ale wręcz obowiązek do zadbania o interes klubu, w którym na dodatek średnio się aklimatyzuje. Funkcja kapitana reprezentacji Polski to jednak szczególnie wyróżnienie, ale także zobowiązanie; miejsce kapitana jest przy zespole. A Robert brał już – w nieodległej przeszłości – źle odebrany urlop od drużyny narodowej. Głośny, bo zakończony nieudaną próbą odebrania mu opaski i dymisją selekcjonera Michała Probierza.

Naprawdę chciałem wierzyć, że kartka na Strawberry Arenie w Solnie była przypadkowa, ale w zestawieniu z wcześniejszym wylotem „Lewego" ze zgrupowania do Ameryki takie myślenie okazało się naiwne...

LIGA NARODÓW – DYWIZJA B
POLSKA – RUMUNIA 6:0

Bramki: Lewandowski 24 (k), 47, 86, Ghita 49 (sam.), Zieliński 62, Bednarek 66.

Polska: Bułka – Cash (63 Wojtuszek), Bednarek, Kiwior, Frankowski – Szymański (71 Reguła), Nowak (63 Urbański), Zieliński (71 Slisz), Zalewski (78 Pietuszewski) – Świderski, Lewandowski.

Rumunia: Hindrich – Ratiu, Dragusin, Ghita, Bancu (67 Borza) – Baluta, Mihaila (26 Coubis), Marin (78 Cirjan), Man (67 Racovitan) – Birligea, Hagi (67 Marin).

Czerwona kartka: Dragusin – 22 minuta. **Żółte kartki:** Lewandowski, Świderski – Ghita, Baluta, Borza.

Sędziował: Schnyder (Szwajcaria). **Widzów:** 51 054.

PIŁKA NOŻNA

Sebastian Szymański: Z Bośnią i Hercegowiną będzie trudniej i... łatwiej

Zbigniew Czyż

Przed meczem z Bośnią i Hercegowiną rozmawiamy z Sebastianem Szymańskim, pomocnikiem reprezentacji Polski.

Wysokie zwycięstwo z Rumunią nieco uspokoiło nastroje wokół reprezentacji, przynajmniej na chwilę. Przed meczem na Narodowym docierały do was głosy, że spekuluje się nawet o zwolnieniu Jana Urbana?

Zdajemy sobie sprawę z tego, jak graliśmy we wcześniejszych meczach i jaka jest nasza sytuacja. Na pewno mogę powiedzieć, że jesteśmy bardzo za trenerem i fajnie, że teraz to on może się odegrać. Jesteśmy wszyscy razem, nikogo nie zostawiamy, a selekcjoner jest częścią naszego teamu do końca.

Duży wpływ na przebieg meczu miała czerwona kartka dla obrońcy Rumunii już w 22. minucie.

Bardzo nam pomogło to, że rywal grał w osłabieniu. Dzięki temu osiągnęliśmy dużą przewagę. Ważne były słowa w przerwie, żeby jak najszybciej strzelić kolejną bramkę, a potem dążyć do następnych goli. Fajnie, że zagraliśmy też na zero z tyłu. Trochę odetchnęliśmy. Myślę, że wygrana z Rumunią doda nam jeszcze więcej energii. Chcemy wyciągnąć z tego spotkania jak najwięcej pozytywów i dobrą dyspozycję pokazać też w meczu z Bośnią.

Przebojem do kadry wdarł się Wiktor Nowak. Jak oceniasz jego debiut?

Super, że wchodzi z taką pewnością siebie, a ona, wydaje mi się, w jego przypadku jest kluczowa. Nic tylko go wspierać, ale wiemy, jak to jest z grą w reprezentacji, dlatego dajmy mu spokojnie się rozwijać. Wykonuje dobrą robotę, bardzo się z tego cieszę.

Czego spodziewacie się po najbliższym meczu z Bośnią i Hercegowiną w Zenicy? To będzie trudniejsze starcie od tego zremisowanego 0:0 na Stadionie Narodowym?

Gramy na wyjeździe, więc na pewno będzie trochę trudniej, ale znamy już tego przeciwnika lepiej i myślę, że się do niego odpowiednio przygotujemy.

Cztery punkty w trzech meczach – jak ocenisz dorobek reprezentacji Polski na starcie tegorocznej edycji Ligi Narodów?

Na razie trudno jeszcze o jakieś podsumowanie, musimy z tym poczekać do ostatniego meczu. Pewnie, że mogliśmy zdobyć sześć czy więcej punktów, ale tak jak mówię, zobaczymy, co będzie po ostatnim spotkaniu w listopadzie.

Z powodu nadmiaru żółtych kartek w meczu z Bośnią i Hercegowiną zabraknie w składzie Roberta Lewandowskiego.

Wielka szkoda, że nie pomoże nam w tym spotkaniu. Jest dla nas bardzo ważnym, bardzo wartościowym zawodnikiem, jest legendą reprezentacji. Będziemy jednak musieli znaleźć dla niego zastępstwo. Szkoda, bo Robert walczy też o sto goli w kadrze.

PIŁKA NOŻNA

Na pożegnanie Džeko remis BiH ze Szwecją

Jacek Kmiecik

Mecz Bośni i Hercegowiny ze Szwecją w naszej grupie Ligi Narodów był pożegnaniem legendarnego Edina Džeko.

Na boisko w Zenicy 40-letni Džeko wyszedł z córką. W Sarajewie na jednym z budynków zawieszono gigantyczną koszulkę z hasłem: „Dziękujemy, Diamencie!".

Po kwadransie Viktor Gyökeres mógł dać Szwecji prowadzenie, ale po analizie VAR gol został anulowany z powodu kontaktu z dłonią. Anulowano też bramkę Džeko dla Bośni w doliczonym do 1. połowy czasie. Po godzinie gry Gyökeres, mijając bramkarza Salko Hamzicia, strzelił na 1:0, ale po rzucie rożnym (80 min) i dobitce w polu karnym Kerim-Sam Alajbegović wyrównał.

LIGA NARODÓW – DYWIZJA B

Polska - Rumunia 6:0, Bośnia i Hercegowina - Szwecja 1:1

1. Szwecja	3	7	6-3
2. Bośnia	3	5	5-3
3. Polska	3	4	7-3
4. Rumunia	3	0	3-12

PIŁKA NOŻNA

Matty Cash z apelem w sprawie Jana Urbana

Jakub Jabłoński

Matty Cash po rozgromieniu reprezentacji Rumunii w 3. kolejce Ligi Narodów w mixed zonie odniósł się do zawirowania wokół drużyny narodowej i możliwego pożegnania Jana Urbana z posadą selekcjonera.

W tym momencie po prostu cieszymy się chwilą, bo sześć goli to naprawdę bardzo dobry wynik. Po meczu zawsze jest czas na odpoczynek, zaraz zresztą czeka nas spotkanie z Bośnią i Hercegowiną.

Rumunia Rumunią, to już zresztą przyjemna, ale historia. W jaki sposób odniesiesz się do plotek o możliwym zwolnieniu selekcjonera Urbana?

Mieliśmy trudny mecz i niekorzystny wynik w Szwecji, ale oczywiście stoimy murem za selekcjonerem. Myślę, że to jest bardzo ważne.

Klimat wokół reprezentacji był jaki był. Jak go odczułeś w ostatnich dniach?

Dlatego ten wynik był również dla trenera. W mediach pojawiło się trochę negatywnych komentarzy na jego temat, więc gra i wynik były dla niego. Jako grupa trzymamy się razem. W Polsce czasami, kiedy wyniki nie są takie, jakich oczekujemy, jest duża krytyka, ale wszyscy chcą przede wszystkim wygrywać. Nie jestem do tego przyzwyczajony.

eprasa.pl 95e9f48b56

PIŁKA NOŻNA

Równanie z jedną niewiadomą. Polska czy Włochy?

Już dzisiaj dowiemy się, czy reprezentacja Polski U-21 zdoła bezpośrednio awansować do finałów mistrzostw Europy. Jerzy Brzęczek zbudował niezwykłą drużynę, ale czy to wystarczy na rywali z Italii? Szansa jest naprawdę ogromna

Paweł Wiśniewski

Przed nami najważniejszy mecz reprezentacji Polski w kwalifikacjach mistrzostw Europy do lat 21, które od 17 czerwca do 4 lipca przyszłego roku zorganizują Albania i Serbia.

Pescara to popularny nadmorski kurort nad Adriatykiem. Na tutejszym Stadio Adriatico – Giovanni Cornacchia Włosi podejmą podopiecznych trenera Jerzego Brzęczka. Stawką będzie bezpośredni awans na przyszłoroczny turniej 2027 UEFA European Under-21 Championship.

Nasza drużyna narodowa jest liderem grupy E. Biało-Czerwoni mają komplet dziewięciu zwycięstw oraz imponujący bilans bramkowy 26:2!

Włosi tracą do nas trzy punkty (przegrali bezpośrednie spotkanie w Szczecinie 1:2). Bilans bramkowy „Gli Azzurrini" wynosi natomiast 26:5.

Jaki warunek musi zostać spełniony, aby Polacy bezpośrednio pojechali na mistrzostwa Europy U-21, czyli wygrywając grupę E?



FOT. PAP/ART SERVICE

W debiucie w reprezentacji Polski U-21 Bartosz Mazurek strzelił Szwedom dwie bramki i poprowadził naszych piłkarzy do zwycięstwa

Wystarczy wygrać, zremisować lub przegrać maksymalnie jedną bramką (początek meczu o godz. 18.15). Jeżeli Polacy przegrają dwoma golami, będą musieli czekać na wynik wyjazdowego spotkania Grecji z Irlandią Północną w grupie F, które odbędzie się wtorek o godz. 18.00 na Mourneview Park w Lurgan, około 30 kilometrów na południowy zachód od Belfastu.

Biało-Czerwoni mogli zapewnić sobie pierwsze miejsce w grupie E już w ubiegłym tygodniu, bowiem Włosi długo męczyli się z Ormianami. Ostatecznie jednak Alphadjo Cisse trafił do siatki w 5. minucie doliczonego czasu gry. Włosi wygrali, a kwestia pierwszego miejsca w grupie rozstrzygnie się właśnie w Pescarze.

Jak poinformowała agencja prasowa ANSA, po powrocie z Erywania i dodatkowych badaniach okazało się, że niezdolni do gry są skrzydłowy Costantino Favasuli z Napoli, który w miniony czwartek opuścił boisko w przerwie, oraz obrońca Niccolo Fortini z Torino, który występował od 52. minuty.

Obaj opuścili zgrupowanie w Tirrenii i wrócili do klubów, by poddać się leczeniu.

Z kolei do włoskiej kadry U-21 dołączył Honest Ahanor. 18-letni obrońca Crystal Palace, który niedawno zagrał przeciw Lechowi Poznań w Lidze Europy (4:0), został powołany do „dorosłej" kadry przez selekcjonera Roberto Manciniego, ale w niej nie zadebiutował.

Podobnie jest z Wojciechem Mońką. 19-letni obrońca Lecha Poznań nie zadebiutował w „dorosłej" reprezentacji Jana Urbana. W dwóch z trzech ostatnich spotkań trafił na trybuny, a teraz przeniósł się do zespołu do lat 21, by pomóc kolegom z ekipy Brzęczka.

Przypomnijmy, że dziewięć zwycięskich zespołów z grup (od A do I) plus najlepsza drużyna z drugiego miejsca uzyskają bezpośredni awans. O ostatnie cztery powalczą w barażach pozostałe ekipy (w sumie osiem) z drugich miejsc.

Ekipy Albanii i Serbii mają zapewniony udział jako gospodarze imprezy. W młodzieżowych mistrzostwach Europy wystąpi zatem 16 drużyn. Pewni startu mogą być już zwycięzcy czterech grup: Portugalia (B), Anglia (D), Norwegia (G) i Chorwacja (H).

Przyszłoroczne EURO U-21 ma dodatkowe znaczenie – otóż wszyscy trzej medaliści mają zagwarantowane miejsce na Igrzyskach XXXIV Olimpiady, których gospodarzem w 2028 będzie Los Angeles.

Transmisja meczu Włochy – Polska U-21 dostępna będzie na TVP Sport. Początek studia o godz. 18.05.

MATERIAŁ INFORMACYJNY PZPN 0011581214

Od marzeń do spotkania z reprezentacją Polski.

Zwycięzcy XXVI edycji Pucharu Tymbark zadali pytania Biało-Czerwonym

Zwyciężczynie i zwycięzcy XXVI edycji Pucharu Tymbark spełnili swoje największe piłkarskie marzenia – spotkali się z reprezentantami Polski i zadali im kilka ważnych pytań. W piątek kibicowali wspólnie Biało-Czerwonym w meczu Polski z Rumunią. Teraz kolejne drużyny mogą przeżyć wyjątkową piłkarską przygodę. Zapisy do XXVII edycji największego turnieju piłkarskiego dla dzieci w Europie już trwają.

Spotkanie z piłkarzami kadry Jana Urbana, finał na PGE Narodowym, trening z trenerami Akademii Młodych Orłów pod okiem selekcjonerów kadr młodzieżowych oraz wspólne kibicowanie podczas meczu reprezentacji – to nagrody, które czekały na zwycięzców największego w Europie turnieju piłkarskiego dla dzieci. Laureaci XXVI edycji Pucharu Tymbark odebrali je w wyjątkowej atmosferze – podczas zgrupowania reprezentacji Polski w ramach Ligi Narodów.



Jan Urban: rodzice są bardzo ważnymi postaciami w edukacji sportowej

Jednym z tematów poruszonych podczas spotkania były zdrowe nawyki i rola trenerów, nauczycieli, szkoły oraz rodziców w ich kształtowaniu. O to, jak dorośli mogą wspierać dzieci w budowaniu dobrych nawyków związanych z aktywnością fizyczną i sportem, zapytał Szymon Bocheński ze SP 48 UKS Zaspa Gdańsk. – *Bądźcie konsekwentni w tym, co robicie, i czerpcie z tego mnóstwo radości. Trenerzy są od tego, żeby wam w tym pomagać, żebyście mieli przyjemność z treningów i gry. Nie ulega żadnej wątpliwości, że rodzice są bardzo ważnymi postaciami w waszym życiu i edukacji, ale również w edukacji sportowej. Jeśli będą wam pomagali i będą dla was przykładem, na pewno będzie wam łatwiej. Jeśli zobaczycie, że siedzą w domu i oglądają filmy albo seriale, wyciągnijcie ich na plac zabaw. Idźcie na rower, żeby fajnie spędzić popołudnie* – powiedział selekcjoner reprezentacji Polski, Jan Urban.

Tymoteusz Puchacz o przedmeczowych rytuałach

Oliwia Punka, uczennica Szkoły Podstawowej w Piotrowicach, zwycięskiej drużyny w kat. U-10 dziewcząt, skierowała swoje pytanie do Tymoteusza Puchacza i zapytała piłkarza o jego rytuały przedmeczowe. – *Przed meczem staram się jeść podobne posiłki, na przykład ryż na mleku. Jeśli mam wieczorem mecz, robię sobie też drzemkę, a już przed samym meczem słucham japońskiego rocka. Mam taką playlistę i słucham japońskich piosenek* – powiedział Tymek Puchacz. Zapytany, skąd zainteresowanie właśnie japońskim rockiem, dodał: – *Jestem fanem anime i te piosenki to tak zwane openingi, czyli utwory pojawiające się na początku odcinka. Lubię ich słuchać, bo wprawiają mnie w dobry nastrój i wtedy dobrze się wczuwam.*

Piotr Zieliński: „Bądźcie sobą"

Zwyciężczynie w kat. U-12 dziewcząt z SP 48 UKS ZASPA Gdańsk zapytały Piotra Zielińskiego o to, jaką radę dałby osobom, które otrzymały swoje pierwsze powołanie do reprezentacji. Na wstępie Piotr pogratulował wszystkim zwycięzcom i wspomniał o tym, że on również występował kiedyś w Pucharze Tymbark. – *Bądźcie sobą, ciężko trenujcie, słuchajcie starszych i cieszcie się każdym dniem spędzonym na zgrupowaniu reprezentacji. To jest najpiękniejsza rzecz, jaka może spotkać piłkarza – móc reprezentować swój kraj. Korzystajcie też z doświadczenia starszych zawodników, bo na pewno dużo możecie się od nich nauczyć* – powiedział Piotr Zieliński. – *Każdy z młodych zawodników, który przyjechał tu pierwszy, drugi czy trzeci raz, to świetni zawodnicy, ale przede wszystkim bardzo fajne osoby i na pewno dadzą nam jeszcze dużo radości* – dodał reprezentant Polski.

Podczas spotkania uczniowie SP Kowale zapytali Marcina Bułkę, z którym reprezentantem najchętniej zamieniłby się miejscami na boisku. Bramkarz wskazał Roberta Lewandowskiego. Chwilę później podobne pytanie otrzymał kapitan reprezentacji. Robert Lewandowski powiedział, że wolałby zostać na pozycji napastnika, ale ewentualnie mógłby zamienić się pozycją z Marcinem Bułką.

Szansa na kolejne spełnione marzenia – ruszyły zapisy do XXVII edycji Pucharu Tymbark!

Od 1 września 2026 r. nauczyciele przedszkolni i szkolni (np. wychowania fizycznego, edukacji wczesnoszkolnej), rodzice (za zgodą dyrektora szkoły) oraz trenerzy mogą zgłaszać drużyny do XXVII edycji Pucharu Tymbark. Drużyny można zgłaszać poprzez formularz zgłoszeniowy na stronie: **www.puchartymbark.pl.** Rozgrywki skierowane są do uczniów przedszkoli i szkół podstawowych w trzech kategoriach wiekowych: U-8, U-10 i U-12. W kategorii U-8 zagrają dzieci z roczników 2019 i 2020, w kategorii U-10 – z roczników 2017 i 2018, a w kategorii U-12 – z roczników 2015 i 2016.



eprasa.pl 95e9f48b56

S24 **sportowy24.pl**

sport

KOLARSTWO

Upadek Niewiadomej-Phinney tuż przed metą wyścigu o mistrzostwo Europy
str. 21

SKOKI NARCIARSKIE



FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI

Kamil Stoch został doradcą w PZPN. Nam opowiada o urokach sportowej emerytury
str. 21

WYWIAD TYGODNIA

Bartosz Zmarzlik: – Żużel jest jak puzzle – jak dobrze wszystkiego nie poukładasz, to nie zobaczysz obrazu
str. 20

Kapitan reprezentacji po najlepszym od lat występie w drużynie narodowej wykonał dziwaczną figurę, wracając do USA przed starciem z Bośnią



FOT. SYLWIA DĄBROWA/POLSKA PRESS

Robert Lewandowski wbił Rumunom hat-tricka. I... przed dzisiejszym meczem opuścił – z powodu nadmiaru żółtych kartek – zgrupowanie kadry *str. 22*

eprasa.pl 95e9f48b56